

M.B.  
im.  
L. W.

W numerze: ZIEMOWIT SKIBIŃSKI *Nauczyciele* • LUCJUSZ WŁODKOWSKI *Szukanie sprawiedliwych*  
• ZBYCH MIKLASZEWICZ *Dylematy inżynierów* • ADAM OCHOCKI *Dalszy ciąg nastąpi* • BOGDAN  
ROGATKO *Spod znaku Conrada* • *Zeusząd o wszystkim* • *Nowela kryminalna*

# odgłosy



22.XI.1970 r.  
47 (679)  
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Fot. E. HARTWIG

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

## Koniec literackiej prowincji?

Prowincję literacką, czy też prowincję w szerszym znaczeniu, nie tak znowu trudno określić. Kiedy mówimy — u nas, Deo gratias, nic nowego, żyjemy sobie jak Bóg zdarzy, zrywamy kartki z kalendarzy — to mówimy właśnie o prowincji. Coś w nas żyje, rozmnaża się, ale wcale nie rośnie, brakuje przestrzeni, rozmachu, wyobraźni. Wszędzie daleko — do najbliższej władzy, dobrego teatru, przyzwoitego lokalu rozrywkowego. Domy małe, gorzej budowane, i sprawy małe, latarnie ciemniejsze, dyskusje niejasne, nuda nudniejsza, zawiść zawiśnana, skuteczniejsze donosiki.

Prowincjonalizm literacki to także stojąca woda. Twórczość ani mała, ani wielka, tyle tylko, że zawsze chwalona przez miejscowych apologetów, złoto leży obok trocin i jednakowo zachwyca, nijaka prasa, co jakiś czas pękają z hukiem miejscowe sławy i trwa nieustanna jereimiada, śpiewa swoje gorzkie żale prowincja pod adresem stolicy, że nam lepsze zabiera, lepiej swoim płaci, spija smaki europejskich stolic, a nas częstuje chałturą.

Czy można się wyleczyć z prowincjonalizmu? Słyszysz się czasem, że najlepsze lekarstwo to zlikwidowanie stolicy. Pomysł i owszem, dosyć nawet efektowny, ale mało realny. I tu już nie chodzi o to, że nie znajdziemy przykładu państwa bez własnej stolicy. Jest to zło, czy też dobro konieczne. Proszę wszakże zwrócić uwagę na fakt, że stolic jest wiele, jeden ośrodek w stosunku do drugiego odgrywa rolę stolicy. Przyjrzyjmy się tej osobliwej drabinie. Na każdym szczeblu siedzi sobie prowincjonalny kompleksik. Jeżeli na szczeblu najwyższym umieścimy, zgodnie z faktycznym stanem, Warszawę, to zaraz dwa następne zajmie Łódź i Kraków. Nie tak dawno temu, wszystkiego dwa, trzy miesiące, ze zwierzącą powagą klarował mi pewien światły ce-ka krakowianin, że faktyczną stolicą kraju, oszalałym centrum jest oczywiście Kraków, ponieważ miał Łokietka. A znowu Łokietek, choć niewielkiego był wzrostu, został królem. Jeżeli szczebel wyżej umieścimy Bydgoszcz, zaraz zacznie narzekać Toruń, jeżeli — Kielce, natychmiast zgłosi swoje pretensje Radom, jeżeli Gdańsk, no to zacznie marudzić Gdynia, Sieradz stanie do walki ze Zduńską Wolą, Zielona Góra z Gorzowem, Słupsk z Koszalinem i tak w gruncie rzeczy bez końca. Kto tu wobec tego jest w końcu prowincjuszem? Jak to zmierzyć, jak rozstrzygnąć, kto lepszy, bardziej stołeczny, centralniejszy?

Prowincjonalizm literacki jest szczególnie skomplikowaną odmianą choroby. Przede wszystkim — chorobą pozorną, chory wmawia w siebie sytuację, z której nie ma wyjścia, wierzy, że osiągnął stan beznadziejny, który nieprędko wszak

Dalszy ciąg na str. 3





Rumuńska wizyta delegacji partyjno - rządowej z Władysławem Gomułą i Józefem Cyrankiewiczem na czele zakończyła się podpisaniem Układu o Przyjaźni Współpracy i Wzajemnej Pomocy między naszymi krajami. Podpisaniu układu, którego pełny tekst opublikowany został w piątkowych numerach dzienników, towarzyszyło spotkanie delegacji PRL z ludnością Bukaresztu. W czasie tego wieczoru przemówienia wygłosili: Nicolae Ceausescu oraz Władysław Gomuła.

I sekretarz KC PZPR w dużej części swoje wystąpienie poświęcił znaczeniu układu i pomysłowemu rozwojowi współpracy polsko - rumuńskiej, o rozszerzeniu której mówi ogłoszony po bukareszteńskich rozmowach komunikat. Duży fragment dotyczy również problematyki międzynarodowej. Podkreślając, iż celem działania krajów socjalistycznych jest utrzymanie pokoju, a zwłaszcza wniesienie wkładu do przekształcenia Europy w kontynent pokojowej stabilizacji — mówca nawiązał do rozwoju sytuacji w NRF i warszawskich rozmów ministrów spraw zagranicznych Jędrzychowskiego i Scheela.

„Bieg wyארzeń — stwierdził Władysław Gomuła — całkowicie przekreślił koncepcję rewizjonistów zachodnoniemieckich. Rachuby na rozstrzygnięcie problemów europejskich z pozycji siły poniosły fiasko. Do głosu w NRF doszły siły bardziej realistyczne i zainteresowane w poprawie stosunków z krajami socjalistycznymi. Wyrazem tego stał się układ między ZSRR i NRF, który otworzył perspektywę normalizacji stosunków w Europie”.

„Obecnie między Polską a NRF toczą się w Warszawie, jak wiadomo, rokowania, które zdają się wchodzić w ostatnią fazę. Normalizacja wzajemnych stosunków między Polską a NRF może się dokonać tylko na podstawie uznania polskiej granicy na Odrze i Nysie za ostateczną i nienaruszalną i wyrzeczenia się wszelkich roszczeń terytorialnych obecnie i w przyszłości”.

W dalszym fragmencie swego wystąpienia Władysław Gomuła podkreślił, że interesy pokoju wymagają, aby rząd NRF normalizował swe stosunki również z innymi krajami socjalistycznymi, a zwłaszcza z NRD. „Wizja Europy pokojowej wiąże się bowiem nierozdzielnie z pełnoprawnym udziałem NRD w gronie państw europejskich”.

I sekretarz zwrócił uwagę, iż walka sił socjalizmu o pokojowy rozwój naszego kontynentu toczyć się będzie dalej, gdyż — siły, które chciałyby prowadzić nadal stary kurs zimnowojenny i zaognić stosunki, wcale nie złożyły broni. Dążą one do stordowania procesu normalizacji, wykorzystując tradycje niemieckiego nacjonalizmu i militarysty.

Tak jest w istocie. Pisaliśmy o licznych wystąpieniach polityków z CDU-CSU (choćby w poprzednim przeglądzie), którzy w niewybredny często sposób, atakują rząd Brandta — Scheela za gotowość potwierdzenia europejskich realiów. Zbieżne z tymi wypowiedziami są również niektóre komentarze prasy zachodnoniemieckiej. W ostatnich dniach ub. tygodnia szczególnie często podejmowano problem tzw. mniejszości niemieckiej w Polsce, problem nieistniejącej, ale rodmuchiwanej w określonych celach politycznych.

Tymczasem rozmowy warszawskie trwały i w nocy z piątku na sobotę PRZYNIOSŁY OSTATECZNE UZGODNIENIE TEKSTU UKŁADU. Min. Scheel wyjechał do Bonn, ale zapowiedział powrót w środę w celu parafowania układu. Tak więc mozolne rozmowy dobiegły końca.

★

12 listopada Francja pożegnała swego wielkiego syna — gen. Charles de Gaulle'a. Na uroczystości żałobne przyjechali do Paryża szefowie państw i rządów. Polskę reprezentowała delegacja na czele z przewodniczącym Rady Państwa — marszałkiem M. Spychalskim. Sam zaś pogrzeb — zgodnie z wolą Zmarłego, wyrażoną jeszcze w 1952 roku — był nader skromny, prawdziwie żołnierski.

Odszedł niewątpliwie jeden z największych mężów stanu, jak pisał dziennik „Humanite”: „bez wątpienia największy, jaki wyszedł z szeregów burżuazji francuskiej naszej epoki”.

Był to człowiek o wysoce zmyślnym wyczuciu politycznych sytuacji, kierujący się trzeźwą oceną i realizmem. Od 1958 roku, kiedy stanął najpierw na czele rządu, a potem państwa, polityka zagraniczna Francji nabrała nowej orientacji. I choć ta podlegała pewnym zmianom — pozostała przeciwieństwem pod stawowych założeniach niezmienna. Sprawdził ją również ostatni półtoraroczny okres prezydentury Pompidou.

Przypomnijmy, że to właśnie de Gaulle był na Zachodzie prekursorem polityki odprężenia ze Wschodem, że to on pierwszy z zachodnich polityków uznał niezmienną granicę na Odrze i Nysie, że przeprowadził proces przyznania niepodległości Algierii, nie wspierał amerykańskiej agresji w Indochinach, nie zważał się wskazać w konflikcie bliskowschodnim na państwo Izrael jako agresora”.

To również on w 1966 roku wyprowadził Francję z organizacji wojskowej NATO. Taka polityka zagraniczna na wydzwignęła pozycję Francji na arenie międzynarodowej, odbudowała jej mocarstwową rolę w świecie. Jest przeto zasługą de Gaulle'a, że w najtragiczniejszych chwilach uratował honor i godność Francji, a następnie zapewnił jej samodzielną politykę.

Te historyczne zasługi de Gaulle'a wysoko ocenia nie tylko Francja.

W. SŁAWSKI

str. 2

● Zawszgd o wszystkim ●

Zawszgd o wszystkim ●

## Nagroda Nobla na cenzurowanym Po wizycie prezydenta Pompidou

„DAILY WORLD” — NOWY JORK

„NOUVEAU JOURNAL” — PARYŻ

Przyznanie Nagrody Nobla Solżenicynowi jest wyrażoną prowokacją polityczną w duchu „zimnej wojny”. Jeśli oceniać utwory Solżenicyna wyłącznie z czysto literackiego punktu widzenia, to każdy przyzna, iż nie zasługują one na tak wysokie wyróżnienie. Jego twórca — pisarska nie wywołuje wśród czytelników aż tak ogromnego zainteresowania, jakie wzbudziła najwidoczniej wśród członków Komitetu Nagród Nobla.

Jest to zamierzona prowokacja polityczna, a jej celem jest odwrócenie uwagi od cieni „amerykańskiego stylu życia” na przykład w Wietnamie, Kambodży czy Laosie. Decyzję powziął Komitet Nagród Nobla akurat w momencie, gdy prezydent Nixon zaostrza atmosferę „zimnej wojny”. Za dowód niech posłuży ogromny szum kół rządzących USA, podnie siony wokół mitycznej bazy radzieckich łodzi podwodnych u wybrzeży Kuby.

Krótko mówiąc, przyznanie nagrody Nobla Solżenicynowi przypomina całemu światu, że „zimna wojna” bynajmniej nie wygasła.

Zorganizowana kampania nacisku na Komitet Nagród Nobla w celu zmuszenia go do przyznania nagrody Solżenicynowi, a tym samym „postawienia w niedogodnej sytuacji Związku Radzieckiego” nasilało się w USA w ciągu długiego czasu.

Rękopisy Solżenicyna tra-

fiwały do rąk zachodnich wydawców „zupelnie przypadkowo”, a ci drukowali je w ogromnych nakładach, „gorąco polecając” ich kolportaż za pośrednictwem klubu „Książka miesiąca”. (Wydawnictwo, rozsyłające masowo swym prenumeratom książkę, jego zdaniem, najbardziej wartościowe i interesujące — red.) Klub ów, z jego mechaniczną sprzedażą tysięcy egzemplarzy biernym klientom, zapewnił „utworom” Solżenicyna kolosalne powodzenie, a ilość sprzedanych egzemplarzy robiła niewątpliwie wrażenie.

Jednakże, prawdę mówiąc, większość przeciętnych czytelników amerykańskich nie rozumiała, dlaczego wokół osoby Solżenicyna jako pisarza zrobiono aż tyle szumu. Mimo to, maszyną propagandy zaczęły teraz pracować z jeszcze większym rozmachem. Na dodatek, nieza leżnie od beceremonialnego narzucania czytelnikom jego książek, przystępują teraz do dzieła cwaniaci — scenarzyści, żerujący na antyradzieckiej pożywce. Zaczynają na kawałki i zmieniać zasadniczą treść i formę książki według własnego widzi miśle, adaptując je do potrzeb ekranu (jak to już nie raz bywało) i sceny (i tak też często bywało). Nie będziemy z tego powodu wyrażać współczucia Solżenicynowi. Nie jest on chyba aż tak naiwny, żeby nie wiedzieć, jakim celem służy tak huczna reklama jego utworów”...

## Nauki z chilijskiej lekcji...

„NOUVEL OBSERVATEUR” — PARYŻ

Z wszystkich krajów Ameryki Łacińskiej Chile jest geograficznie najbardziej położone od Stanów Zjednoczonych a mimo to już od kil ku lat budzi niepokój w Białym Domu. Rozwój wydarzeń politycznych w tym nie wielkim kraju tworzy amerykańskie monopole, które ciągną stamtąd krociowe zyski, przewyższające dwuletnie zyski wkłady początkowe. Trzy wielkie kompanie amerykańskie kontrolują niemal całe wydobycie rudy miedzi — podstawowego bogactwa narodowego Chile. W ciągu trzydziestu lat czysty dochód tych kompanii przekroczył dwa miliardy dolarów. (W ostatnich latach dochód ten wzrósł jeszcze o 90 procent!).

Zwycięstwo Salvadora Allende w wyborach prezydenckich wyraźnie zaskoczyło Białe Domy oraz mocno zaniepokoiło kompanie eksploatujące chilijską miedź.

W oficjalnych kołach USA nie traci się nadziei, iż kan dydat skrajnej prawicy, Ales sandri, może jeszcze odzyskać większość głosów w kongresie chilijskim, do którego należy ostatnie słowo.

Teoretycznie rzecz biorąc, prezydent USA może się zde cydować na interwencję zbrojną w Chile. Jednakże musi wziąć pod uwagę fakt, iż desant 40 tysięcy żołnierzy amerykańskich w Santo Domingo w 1965 roku, doko-

nany na osobisty rozkaz prezydenta Johnsona, skompromitował rząd amerykański w oczach całej Ameryki Łacińskiej. Od tego czasu stosunek krajów Ameryki Południowej do północnych są siada uległ wyraźnemu oziębieniu.

Istnieje jeszcze i inny punkt widzenia USA na wydarzenia w krajach latynoamerykańskich. Oto przedstawiciel Nixona wyraził się niedawno w taki sposób: „W Ameryce Łacińskiej należy oczekiwać wie lu burz. Większość tych krajów wychodzi spod bezpośredniej kontroli Waszyngtonu i nie ma żadnej możliwości, aby temu procesowi przeciwdziałać. Dla nas jest teraz najważniejsze wiedzieć, co ocaleje, kiedy uciśnie burza...”

Jak przypuszcza się w pewnych kołach amerykańskich, przyczyna zwycięstwa Salvadora Allende tkwi „w przeciwstawieniu się oligarchii, co jest niezbędne dla wprowadzenia reform i z drugiej strony — w nieudolności dotychczasowego rządu chilijskiego, który takich reform przeprowadzić nie umiał”.

Dlatego też, jak to się mówi w Waszyngtonie, pozostałe rządy Ameryki Łacińskiej powinny wyciągnąć wnioski z chilijskiej lekcji...”

Wszystko wskazuje na to, iż francuscy przemysłowcy i bankierzy, których zaproszono, aby towarzyszyli Georgesowi Pompidou w Moskwie 13 października na spotkaniu z przywódcami radzieckimi, są nader zadowoleni z wyników swego pobytu w tym kraju.

Przypuszczają oni, iż przy wódcy radzieckiej nadali tej inicjatywie wysoką rangę. Tym samym dano nowy impuls rozszerzeniu wymiany francusko-radzieckiej, impuls, którego rozmiary i znaczenie przyjemnie zaskoczyły francuskich przemysłowców, biorąc pod uwagę to, iż w ZSRR przebywali nie-

Ich podróż pozwoliła przede wszystkim na „rozmrózenie” całego szeregu problemów. Na przykład towarzysstwo handlowe ENSA podpisało kontrakt na budowę zakładów oczyszczania gazu za sumę 130 milionów franków. Francuski Instytut naftowy otrzymał zamówienie od specjalistów radzieckich na budowę statku do poszukiwań podwodnych złóż naft. Ogólnie mówiąc, podróż

ta doprowadziła do polepszenia stosunków z administracją radziecką, a to pozwoliło niektórym kompaniom, których przedstawiciele wchodzili w skład tej delegacji, ubiegać się o pozwolenie na otwarcie w Moskwie swoich stałych przedstawicielstw.

Podczas audiencji na Kremlu, A. N. Kosygin wystąpił z całkiem nową ideą utworzenia czegoś w rodzaju „instytutu”, czy może „prezdyj — stałej komisji” dla zbadania, co Związek Radziecki mógłby sprzedać Francji. Dzięki temu, po upływie kilku lat i poznaniu radzieckich metod handlu, będzie można znacznie zwiększyć w radzieckim eksporcie udział produkcji gotowej, szczególnie maszyn. To też mówiąc o towarach, którzy sprzedają dla Francji można by zwiększyć, A. N. Kosygin zatrzymał się przede wszystkim na takich surowcach i półfabrykatkach, jak: gaz, nafta, diamenty, aluminium, miedź, masa drzewna, wyroby chemiczne, a także, być może, wyposażenie fabryk metalurgicznych i reaktory atomowe.

## Sukcesy kosmiczne ZSRR

„SAN” — LONDYN

Rosja odniosła poważny sukces w dziedzinie badań kosmicznych. Nowa autonomiczna stacja kosmiczna „Sonda 8” wystartowała z pokładu innego sputnika, krążącego już na orbicie wokół Ziemi. „Sonda 8” dokona lotu wokół Księżyca i powróci na Ziemię. (Po wykonaniu programu powróciła na Ziemię — red.)

To ostatnie osiągnięcie Rosjan kładzie podwaliny pod wystrzelenie bezzałogowego orbitalnego laboratorium kosmicznego w latach siedemdziesiątych.

Zadanie stacji „Sonda” polega na wejściu na orbitę wokół Księżyca, sfotografowaniu powierzchni księżycowej i Ziemi oraz przeprowadzeniu badań nowej aparatury elektronicznej. Jeżeli „Sonda 8” pomyślnie wykona swe zadania i powróci na Ziemię, Związek Radziecki odniesie ogromny sukces propagandowy, bowiem jego pre stż ucierpiał, kiedy Amerykanie wylądowali na Księżycu.

Rosjanie nie ukrywają celu, do którego dążą: wylądowanie pierwszego człowieka na Marsie przy końcu lat siedemdziesiątych. Ich bezzałogowe stacje kosmiczne dokonały już pomyślnych lotów wokół Marsa i Wenus.

W ubiegłym miesiącu po-

ważny sukces w dziedzinie badań kosmicznych odniosła ich stacja „Luna 16”, która miękko wylądowała na Księżycu i powróciła na Ziemię z próbkami gruntu księżycowego.

Osiągnięcia Związku Radzieckiego w zakresie badań Księżyca nie posiadają, być może, cech dramatyzmu amerykańskiego programu „Apollo”. Jednakże specjaliści wskazują na fakt, iż Rosjanie osiagają pomyślne wyniki w swych badaniach przy niewspółmiernie mniejszych kosztach i nie ryzykując ludzkiego życia. A ich ostatni sukces nasuwa myśl, że już w najbliższych latach jakaś radziecka stacja automatycznie dostarczy na Ziemię próbki gruntu z Marsa lub Wenus.

Zachodni obserwatorzy oceniają to wszystko jako pełne potwierdzenie słuszności planów radzieckich: badanie Księżyca przy pomocy automatów. Rosjanie otrzymują takie same wyniki naukowe jak i Amerykanie, ale przy znacznie mniejszych wydatkach.

To nowe osiągnięcie Rosjan wzbudzi zaniepokojenie w Ameryce, gdzie prezydent Nixon — biorąc pod uwagę niewspółmiernie wysokie koszty — mocno obciął plany przyszłych amerykańskich lotów kosmicznych.

● Zawszgd o wszystkim ●

Zawszgd o wszystkim ●



# Koniec literackiej prowincji?

Dalszy ciąg ze str. 1

że doprowadzi do śmierci. Łódź Warszawa nie dorówna, Piotrków nie dorówna Łodzi, choć był prawdziwym gubernialnym miastem, Bełchatów nie sprostą Piotrkowowi, Bełchatowowi Szczerców, Szczercowowi Rusiec, choć tam przyszedł na świat Marian Piechal. Nad tym boleje nasz prowincjusz, a że owej drabiny przewrócić się nie da — myśli, że jego stan jest przewlekłe beznadziejny.

Jaką tedy stosować terapię, jakie przepisać lekarstwo, skoro mniejszy ośrodek jest prowincją wobec większego, lecz równocześnie sam za stolicę uchodzi wobec mniejszego? Po pierwsze, należy uznać, że to wcale nie jest choroba, lecz stan naturalny, chorym, obolałym czuje się w tej sytuacji tylko leń, który traci czerwono-białe ciążki ambicji, ale żyje, niekiedy nawet za dobrze. Warto będzie kiedyś policzyć, ile zarobili nasi publicyści, wszczynając co jakiś czas dyskusję na temat — czy Łódź jest pustynią kulturalną?

Leczenie prowincjonalizmu literackiego, czy w ogóle wyprowadzanie z kompleksu prowincji jest w gruncie rzeczy proste. Wypisujemy receptę na pracę, rzetelną, uczciwą pracę i odsyłamy rzekomego chorego do roboty. Prowincjonalny leń też mówi o pracy, ale chodzi mu o pracę ojców i praojców, z której chciałby żyć. Nie wiem, czy zwrócił się uwagę na fakt — że jak bardzo starego pochodzimy kraju. Każde miasto wojewódzkie, co drugie powiatowe, co trzecie osada, obchodzi swoje wielolecie. Miasto, które nie ma u nas co najmniej sześćdziesiąt lat, nie bardzo się liczy. Prowincjonalny leń nie tyle powołuje się na mury, stare papiery i pieczęcie, ile na ludzi. Włecie, panowie i panie, u nas, w tym domu przy ulicy Mickiewicza numer osiem, Nałkowska dopracowywała „Medalliony”. Dygat kropnął „Jeziorko Bodeńskie”. Rysio Matuszewski już wtedy, u nas, zaczął męczyć młodzież swoimi podęcznikami nauczania literatury, Brandys pokazywał klasę robotniczą jak się wiąże krawaty, z tych krawatów Żółkiewski wróżył na temat przekonań politycznych ich właścicieli, było się stolicą, co? A teraz? Wszystko zabrała literatura, wywozła, zostało nas trzech poetów młodego pokolenia, pijemy w Spatife na poczet twórczego stypendium, ratujemy tradycje wielkiej bohemy. Ale co można na takiej prowincji zrobić? Gdzie jest ta ręka, która moją rękę myje, gdzie ta noga, która moją nogę wesprze? Za darmo, z czystej przyjaźni?

Lecz choroba ma to do siebie, że może się z czasem znużyć. I już nie chce się chorować, a wtedy zaczyna działać lekarstwo wypisane na naszej receptce. Chory zabiera się do pracy. Píše jedną książkę, drugą, znacznie już lepszą, przybywa mu wspomnianych już białoczerwonych ciążek ambicji. Jeszcze całkiem zdrowy nie jest, jeszcze przypomina ubogiego krewnego z prowincji, który chwali się pochwałąmi dalekiego kuzyna bogacza. Słyszałeś pewnie, co? Sprusiński pochwał! mój tomik, będzie recenzja w „Poezji”, a więc lecę się już w stolicy. Choroba więc trwa, ale wyraźnie słabnie, już zwyciężają wirusy pracowitości i rozsądku. Nasz powracający do zdrowia mówi wprawdzie — Jarosław podał mi rękę, mam więc prawo zadreżać go swoimi tomikami z dedykacją, ale już wie, że byle czego dedykować nie wypada.

Lecz czas odrzucić żarty na bok. Łódź literacka przez wiele lat uważana była za zlepek przypadnie zebranych ludzi, którym nie udało się przenieść do stolicy, ludzi zgorzkniałych i siłą faktu — mniej utalentowanych, słabszych. Łódź literacka, tak właśnie się sądziło, nie posiadała wartości autentycznych. Taki sobie mały paż i wielka papuga. W ostatnich latach,

a jest to fakt nie podlegający wątpliwości, wszyscyśmy zrozumieli, że określenie — prowincjonalny pisarz nie ma najmniejszego sensu. Faulkner też jest prowincjonalnym pisarzem, a i Szolochow, podobnie Laxness, żeby już nie przypominać Reymonta. W literaturze nie ma pojęć geograficznych, każde miejsce może być dobrym polem startu do dużych osiągnięć, literatura jest bowiem niepodzielna, nie da się ograniczyć opłotkami powiatów, rogatkami miast. Literatura przewodzona jest powszechnie, utalentowana pisarz może liczyć na czytelnika w każdym zakątku kraju, gdzie tylko jest biblioteka czy księgarnia, a są one wszędzie. Talent, wsparty doświadczeniem i rzetelną pracą, znajdzie uznanie nie tylko w Łodzi.

W naszym grodzie talentów nie brak i tylko przez wrodzoną skromność nie będziemy wymienić wysokich nakładów na szczytach najpoczytniejszych pisarzy, nie wliczymy nagród ogólnopolskich, wyróżnień i wszelkich innych sprawdzianów wartości pracy naszych twórców. Jeżeli tu można w jakiś sposób o prowincji mówić, to tylko w znaczeniu ogólnym, obejmującym niemal jednakowo cały nasz kraj. Po prostu, Warszawa, która dysponuje największą liczbą trybun literackich, nie zawsze chce wiedzieć, co tam za jej rogatkami słychać, sama więc jest w tym sensie prowincją, ponieważ zamyka się. Ale to nie ma nic do uczciwej pracy twórcy, który zawsze znajdzie dobrą książkę.

Każde miejsce może być dobre jako punkt startu dla pisarza. To już powiedziałem, ale nie wniósłem niezbędnej poprawki. Mimo wszystko bywają lepsze i gorsze miejsca. Chodzi tutaj o atmosferę, jaką się wokół twórczości wytwarza. Bywają miasta pozornie nieefektywne, pozabawione Wawelu, wyboru najlepszych sar kofagów, pomników, tablic, przytulnych knajpek, a jednak miasta sprzyjające twórcy. Co do mnie — jestem przekonany, że takim miastem staje się Łódź. Jeden z dyrektorów poważnego wydawnictwa — „Czytelnik”, mówił mi przed kilku dniami, że nikt tak pięknie poezji wydać nie umie jak Łódź. Otóż to! Staliśmy się w pewnym sensie stolicą poezji, organizujemy każdego roku Ogólnopolskie Festiwa Poezji, nagradzamy najlepsze tomy roku, najlepsze eseje i wiersze roku, skrzypujemy naszą polską czołówkę poetycką i krytyczną, zbieramy wybitnych znawców literatury. W tej aurze naturalną jest rzeczą, że nasi poeci trzymają się kupa, zasilają organizm ciążkami ambicji, są — po prostu coraz lepsi i to we wszystkich pokoleniach. Oczywiście, najbardziej cieszy młodzież. Lekarstwo nasze skutkuje nie tylko dlatego, że indywidualny wysiłek twórcy liczy się coraz wyraźniej, ale równocześnie liczy się wysiłek zbiorowy, organizatorski. Wystarczy tylko powiedzieć sobie, że nie jesteśmy grupą przegrodnie zebranych indywidualności, lecz możemy i rzeczywiście wykonujemy wspólnie zadania na rzecz polskiej poezji, jej rozwoju, zabiegamy o jej rangę pośród czytelników, lansujemy szczególnie jej obywatelskie walory, nie musimy przeznaczać, ale ludziom, z którymi żyjemy. I oto przestajemy nagle chorować, zdrowi i zadowoleni pokrzykujemy — precz z prowincją, kto — u diaska — wymyślił ten idiotyczny termin? Samiśmy go kiedyś wymyślili i sami składamy go powoli do lamusa.

Sprawa zatem polega na pracowitości, wspólnym przekształcaniu własnego środowiska w centrum. Centrum jest tu pojęciem względnym, zależnym od możliwości. Ma je Piotrków i ma je Łódź. Krajków także. Są to wszakże możliwości nierówne, ale zawsze istnieją. Sek w tym, co z nimi potrafimy uczynić. Łódź literacka pod tym względem nie jest najgorszym przykładem, i to nie tylko, gdy mowa o niej, jako pewnym centrum poetyckim. Przestają nam chorować prozaicy, tłumacze, ostatnio lepiej poczuł się nasz krytycy i literaturoznawcy.

Pewien znany pisarz krakowski, który wydaje w Łodzi, powiedział nam: Prawo może uda nam się zająć wreszcie miejsce Warszawy, no, bo my mieliśmy niewielkiego wzrostem Łokietka, który królem został, ale zachodzi poważna obawa, że tymczasem wyskoczy do przodu Łódź. Myślę, że rzecz nie polega tyle na wyprzedzaniu, nie mierzy się czasem, jaki możemy osiągnąć na sto czy dwieście metrów, lecz na powszechnej walce z powszechnymi jeszcze relikwiami prowincji w Warszawie, Krakowie, czy Łodzi.

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

## W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”

- ★ PROF. JÓZEF DUTKIEWICZ — Charles de Gaulle
- ★ JAN HUSZCZA — Notatki z miejsc znajomych i poznanych
- ★ ANTONI KASPROWICZ — A kiedy księżycowa pełnia... oraz felietony, recenzje, nowela kryminalna i rozwiązanie konkursu „Czy znasz architekturę Łodzi?”.



Fot. A. Wiernicki

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

# Nauczyciele

Dane statystyczne Zarządu Wojewódzkiego ZNP w Łodzi podają, że w województwie łódzkim pracuje 17.126 nauczycieli, z czego 6.598 pełni z wyboru funkcje w różnych organizacjach społeczno-politycznych i młodzieżowych, zaś dalsze 4.827 uczestniczy w pracach tych organizacji. Liczbę tę są wymowne. Nie wiem czy jakakolwiek inna instytucja związkowa może poszczycić się tak dużym procentem ludzi zaangażowanych w pracę społeczną. Dlaczego?

Charakter wykonywanej pracy, zawierający z wszystkich profesji uprawianych przez człowieka największe ładunku ideowego, wskazuje na jej społeczne ukierunkowanie.

— Jest w Polsce chyba jeden taki, bo kto dzisiaj ma ochotę na takie poświęcenie — mówi p. Kleszczewski z Zarządu Okręgu ZNP. Rozmawiamy o Józefie Wolniaku, byłym nauczycielu historii w szczercowskim liceum, dziś już na emeryturze. Nie pierwszy raz o nim słyszę. Znany jest w całym województwie ze swej ofiarnej działalności. Mimo młodego już wieku mgr Wolniak w dalszym ciągu jest aktywny, ubiega się o zapewnienie dostępu do szkół technicznych i na wyższe uczelnie młodzieży materialnie za niedbaną. Na swoim koncie ma 13 sierot, którymi zajął się jeszcze, gdy był w wieku szkolnym. Obecnie wszystkie pokończyły szkoły minimum średnie, wiele z nich piastuje wysokie stanowiska. Jeżeli chodzi o wdzięczność podopiecznych, to bywa różnie. Jedni nie zapominają o swoim przybranym ojcu, za praszą, piszą listy, przesyłają życzenia; inni natomiast szybko zapominają o tym który „dał im skrzydła”.

Józef Wolniak znany jest z odwagi. Gdy widzi, że po moc w określonym przypadku jest niezbędna, nie waha się przed zapukaniem do drzwi najwyższych urzędów. O współczesnych działaczach społecznych mówi się, że jeżeli widzą ich w społeczeństwie, to trudno znaleźć ich w gronie rodzinnym. Osoba mgr Wolniaka przeczy temu. Potrafił wychować pięknie i własne dzieci. Syn jest lekarzem w Afryce, córka po studiach polonistycznych. Sam nie narzeka na to, że jest niedoceniany. Pracuje społecznie nie w tym celu, by za to mu składano hołdy. Działacz z prawdziwego, zda-

zenia. Oprócz tego jest wybitnym znawcą dziejów Szczercowa i okolicy.

Do silniczek naszego województwa zaliczyć można też Leokadię Marciniak, znaną działaczkę związkową, nauczycielkę w szkole podstawowej w Galkówku. Od 1950 roku prowadzi wiejską świetlicę i przewodniczy samorządowi Wiejskiego Domu Kultury, od 1955 r. opiekuje się Uniwersytetem Powszechnym i szkoleniem rolniczym, działa aktywnie od zarania Koła Gospodyń Wiejskich. Jej dziełem jest założenie wiejskiego parku w Galkówku. Oprócz tego pełni funkcję przewodniczącej sekcji Pracy Społeczno-Oświatowej przy Zarządzie Okręgu. Również z jej inicjatywy powstało przy zarządzie Ognisko Plastyczne, skupiające nauczycieli — amatorów — plastryków, którzy obecnie mogą poszczycić się wieloma zbiorowymi i indywidualnymi wystawami w kraju i za granicą.

Są to jednostki zauważane nie tylko we własnym środowisku. Dodać do tego trzeba, że większość działaczy związków rekrutuje się ze starszego pokolenia. A co z młodym nauczycielem? Przez pierwsze trzy lata pracy pisze konspekty, przygotowuje się do lekcji, urządza się. Po dziesięciu latach zaczyna powoli stabilizować się. Na pracę społeczną, mówiąc prawdę, nie ma czasu, tym bardziej, jeżeli myśli o nieustannym podwyższaniu kwalifikacji zawodowych. Ale z tym nie najlepiej sprawa się przedstawia. Ongiś, przed laty, wielu pracowników naukowych rekrutowało się z prowincjonalnych gimnazjów. Dziś młody nauczyciel po ukończeniu studiów wyższych często nosi się z zamiarami pisania pracy doktorskiej. Potem jednak dochodzi do wniosku, że trzeba założyć rodzinę i pomyśleć o przyszłości naturalnym. Na ogół rzecz sprząda się tułko do tego ostatniego. Z doboru pozostają tylko ambicje, które w miarę upływu czasu wygasają w rodzicielstwie i przechodzą na następne pokolenie.

Oczywiście, uogólnienia nie oddają stanu faktycznego. I wśród młodych spotykamy wielu zapaleńców. Miłomonego lata dzieciniec wiejski w Woli Przedmiejskiej prowadziła Anieła Kroszczyńska, nauczycielka z Uniejowa. Rodzice nie szczędzili słów uznania pod adresem

tej młodej nauczycielki. Zająć przedłużała z dziećmi do późnych godzin wieczornych, gdyż rodzice byli zajęci w polu pracami żniwnymi. Nikt jej o to nie prosił, nikt za to nie płacił. Dzieciniec był prowadzony wzorowo, wniósł dużo nowych form w dziedzinie wychowania estetycznego. Inny nauczyciel, Alojzy Nowak, kierownik szkoły w Kuczkach, znany jest z tego, że dużo wymaga zarówno od innych jak i od siebie. Absolwenci tej szkoły są świetnie przygotowani do egzaminów wstępnych do szkół średnich. Kierownik prowadzi Uniwersytet Powszechny, ale, ponieważ szkoła oddalona jest o 7 km od najbliższego przystanku autobusowego, preto prelegentów, bez względu na pogodę, przywozi sam motocyklem. Oprócz tego uczestniczy w pracach społecznych Gromadzkiej Rady Narodowej i organizacji partyjnej, jest od kilku lat prezesem wzorowego ogniska związkowego w Uniejowie. Jego synowie zaliczają się do najlepszych uczniów liceum poddębickiego. Oddział Powiatowy TPD w pierwszym rzędzie opiera się na pracy Nowaka.

Piszemy o wzorowych postawach nauczycieli prowincjonalnych, ale pełnego obrazu ich pracy nie sposób jest oddać. Trzeba z nimi przebywać na co dzień, przyjrzeć się ich rzeczywistej szarzyźnie życia, drobnym i wielkim kłopotom. U większości spotykanych osób można zetknąć się z narzekaniami, tyżczącymi na ogół autorytetu nauczyciela w środowisku, w którym się obraca. Na skutek urbanizacji wsi i małych miasteczek, znacznego przyrostu inteligencji innych za wodów, naturalnym prawem pozycja nauczyciela zaczęła tracić priorytet w środowisku. Przyszli agronomowie, inżynierzy, technicy rolni, zootechnicy, lekarze. Sytuacja materialna nauczyciela jest gorsza, a względy materialne, zwłaszcza w prowincjonalnym środowisku, odgrywa ją istotną rolę. Trudno jest wypracować sobie autorytet dzięki wysokim kwalifikacjom i rozległej wiedzy. Wśród ludzi wsi, i miasteczek liczą się przede wszystkim rzeczy namacalne, materialne, a nie czynniki duchowe, tym bardziej, że w latach ostatnich standard życia rolników wyraźnie

Dalszy ciąg na str. 8



## Szukanie sprawiedliwych

Są ludzie pomysłowi. Krążą o nich legendy, o bezimiennych autorach arcy-sprytnych pomysłów, którym udało się uszknąć „odrobinę” wspólnego dobra. Oto „cyklista”, pracownik fabryki wódek, który z pracy zawsze wracał pieszo, prowadząc rower. Przez długi czas nikomu nie przyszło do głowy zapytać go o przyczynę dziwnej praktyki. Aż któregoś dnia sprawdzono opony. Były napompowane... wódka.

Dyrektor gorzelnii urządził imieniny. Jego służbowe mieszkanie przylegało do fabrycznego budynku. Spragniony gość wyszedł z biesiadnej sali i poszedł do kuchni, aby napić się szklanki zimnej wody. Nad złewem były dwa krany. Nalał sobie pełną szklankę z pierwszego. Napił się... wódki.

I tak można dalej o tych, co kiedyś sprytnie kradli, bo każdy spryt ma w końcu swoje granice i jak głosi ludowa mądrość: „póty dzban wodę nosi póki się ucho nie urwie”. Urwało się i dzięki temu wiemy jeszcze o jednym takim, co wpadł na bardzo prosty pomysł. On nie nie wynosił z przedsiębiorstwa, on przeciwnie — każdego rana wnosił. Pracował w zakładach, gdzie na miejscu była znakomita zakaska i gdzie trudno było obejść się bez kielicha. Handlował w pracy wódką. „Dorabiał” i żyło mu się nieźle. Do czasu.

### PRZEPIS NA WYCISZANIE

W dyrekcji Łódzkich Zakładów Mięśnych zadzwonił któregoś dnia telefon. Proszono, aby przenieść do innego działu rewidentkę Marię A. bo kierownictwo działu nie ma do niej zaufania. Okazało się później, że zaufania nie mieli ludzie, którym solidność rewidentki przeszkadzała w uprawianiu ich nieuczciwego procederu. Wiecej jej nie przeniesiono. Być może ci, którym uczciwa rewidentka jest niewygodna chwycią się innego sposobu, aby ją „wyciszyć”. Holdują bowiem zasadzie, że każdy sposób jest dobry, byle w ŁZM trwał balagan, byle ludzie balli się. Nie stronią od gróźb, szantażu, a nawet zdarzyły się wypadki pobicia. Chodzi im bowiem o wytworzenie i utrzymanie przekonania, że uczciwa część załogi jest w swoim niezadzwoleniu bezsilna i osamotniona, a wołanie o sprawiedliwość nie oplaca się, jest bezcelowe.

Kiedy Zofia B. krytykowała panujące w ŁZM pijaństwo i kumoterstwo, przeniesiono ją do innego oddziału z niższym uposażeniem. Adam K. po wielu krytycznych uwagach o pracy oddziału gdzie pracował, sam poprosił o przeniesienie go do innego, bo nie czuł się dobrze wśród „kolegów”, którzy mieli mu za złe, że jest „lenny”, że śmie krytykować. Przeszedł do innej pracy, choć stracił na tym finansowo. A mimo to są wśród pracowników Łódzkich Zakładów Mięśnych ludzie uczciwi, ludzie, którzy chcą pracować dobrze i spokojnie.

Dlaczego więc ciągle przewagę mają inni?

Z pozoru wygląda to na paradoks. W Łodzi, gdzie jest jedyny w kraju Wydział Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej i gdzie jest Technikum Przemysłu Spoży-

czego brakuje specjalistów. W Łódzkich Zakładach Mięśnych pracuje wprawdzie 25 inżynierów i 157 techników, ale jest to mniej niż potrzeba. W przedsiębiorstwie jest np. 145 stanowisk kierowniczych, które w 9 proc. zajmują ludzie z wyższym wykształceniem, w 40 proc. — ze średnim, w 18 proc. — z niepełnym średnim i w 33 proc. z podstawowym. Wśród kierowników sekcji jest 72 ludzi nie posiadających średniego wykształcenia, a wśród 95 brygadzystów 4 nie ma nawet podstawowego, a 40 tylko wykształcenie podstawowe.

Do przedsiębiorstwa przychodzą na staż zawodowy absolwenci PE czy Technikum Przemysłu Spożywczego. Nie widać oni jednak żadnych nadziei z ŁZM i trudno mieć do nich o to pretensję. Ludzie chcą pracować w znośnych warunkach, chcą być pewni przyszłości, pragną awansować, doskonalić swoje umiejętności. Każdy czło-wiek chce, aby praca przynosiła mu korzyści i dawała zadowolenie. Tego nie znajdują w ŁZM. Stąd jeszcze przedziej się odchodzą niż przychodzi. W 1968 roku z przedsiębiorstwa odeszło 576 osób, w 1969 — 586, w półroczu 1970 — 374. Między innymi w ciągu roku odchodził co czwartego kierownik magazynu lub magazynier.

### LUDZIE WIEDZA

O stosunki panujące w Łódzkich Zakładach Mięśnych zapytano 500 pracowników. Stu odpowiedziało pisemnie na bezimienną ankietę, z 400 przeprowadzono rozmowy, zapewniając anonimowość wypowiedzi przy ich wykorzystaniu. Oto nie które z tych odpowiedzi. Czasem aż nadto drastyczne.

— Nikt nie reaguje na obecność ludzi z innych wydziałów, którzy bezczynnie waleją się po całym przedsiębiorstwie.

— Obserwuje się całkowitą obojętność kierowników, mistrzów i brygadzystów na wiele nieprawidłowości.

— W czasie pracy pije się wódkę, a przecież, aby pić trzeba kraść, bo skąd inaczej można mieć codziennie na to pieniądze?

— Wśród części załogi panuje pogląd, że ten co pije, to dobry chłop, a niepijący to szpicel.

— Stanowiska kierownicze obsadza się ludźmi niekompetentnymi.

— Zaśmieszają się załogę byłymi kryminalistami i ludźmi z nimi powiązanymi. Przykładem może być choćby sprawa Pawła Z., którego za popełnione przestępstwo zwolniono z pracy i wykluczono z partii, ale który po jakimś czasie wrócił do ŁZM na stanowisko... mistrza.

— Pracowników stolarni zatrudnia się często w godzinach pracy w... szklarni należącej do zwierzchnika.

W rozmowach i ankietach przytoczono wiele przykładów marnotrawstwa i kradzieży. Wyrażono wiele opinii o złej organizacji pracy, o braku właściwego nadzoru i kontroli. Jednym z przykładów była sprawa wadliwej pracy taśmy, na której dokonuje się rozbiór ubitych zwierząt. Niesprawna taśma daje tylko na jednej zmianie do 100 kg strat mięsa. A niesprawnych maszyn w ŁZM jest więcej.

— Ślusarze, elektrycy i monterzy — mó-wi się powszechnie, ale jeszcze po cichu w ŁZM — waleją się całymi dniami nie robiąc.

Przypominajmy pytanie: dlaczego w ŁZM ciągle przewagę mają ludzie nieuczciwi?

O odpowiedź niestety. W przedsiębiorstwie, które wytwarza produkty szczególnie „atrakcyjne” dla ludzi skłonnych do nieuczciwości musi panować żelazna dyscyplina, ostra kontrola i doskonała organizacja. A tego właśnie nie ma w Łódzkich Zakładach Mięśnych.

### REFLEKTOR NA SPRAWIEDLIWYCH

Pięćuset ludzi, którzy nie godzą się na niesprawiedliwość, pięćuset ludzi,

którzy pragną zmiany na lepsze, porządku i uczciwości — to wielka siła. Ale tak długo jest to siła potencjalna, jak długo ludzie uczciwi będą rozproszeni, pozbawieni głosu, tylko nie zgadzający się a nie działający. Ludzie ci mają też potencjalnych sojuszników — organizację partyjną, samorząd robotniczy, dyrekcję. Organizacja partyjna w ŁZM liczy 410 członków, ale Komitet Zakładowy PZPR działa tylko w oparciu o wąski krąg aktywów, nie potrafił odwołać się do uczciwej części załogi, choć podejmował liczne i potrzebne uchwały, ale ich nie realizował. Grupy partyjne i oddziały organizacji partyjne nie odgrywają swojej roli politycznych kierowników. Mają aż nadto okazji działania, którego nie są w stanie przedsię-

wziąć. Ciągłe są tylko potencjalna siła. Trzeba zatem na scenę wprowadzić sprawiedliwych. W ŁZM powołano kiedyś do życia społeczne sądy, ale zrozumiało, że w takich warunkach nie mogły one rozpocząć tak niezbędnej pracy. Teraz, kiedy organizacja partyjna sprzecyzowała program odnowy, kiedy ma po parcie i zachęte Łódzkiej instancji partyjnej, kiedy w zakładzie ujawniła się pokaźna grupa ludzi, którzy chcą podjąć walkę ze złem, teraz nadszedł czas dla sprawiedliwych. Są na miejscu, jeszcze nie weszli na scenę, jeszcze nie zabrali głosu, ale stanie się to już niedługo, bowiem załoga zrozumiała, że nikt z nią nie zmieni złej sławy przedsiębiorstwa, z jej jego sytuacji.

## IX OGÓLNOPOLSKI TURNIEJ CZYTELNICZY ZMS

### CZTERDZIEŚTY CZWARTY

Był to decydujący rok. Rok, w którym ważyły się dalsze losy naszego narodu. Jak pisał Zbigniew Żalusiński: „Rok 1944 — rok wyzwolenia i odrodzenia, rok manifestu i wielkich bitew wyzwoleniczych na ziemiach polskich, rok znaczący datami słynnych bojów na różnych frontach światowej wojny z faszyzmem i rok masowego zrywu zbrojnego na ziemiach polskich, rok powszechnej wojny partyzanckiej”.

Więc jest to rok przełomowy w dziejach drugiej wojny światowej, w dziejach Europy i w dziejach Polski. Organizacje zbrojne pozostające pod rozkazami polskiego rządu w Londynie usiłują przeszkodzić w przejmowaniu władzy administracyjnej przez przedstawicieli PKWN, starają się nie do puścić do przeprowadzenia reformy rolnej, agitują przeciwko poborowi do Odrodzonego Wojska Polskiego. Szerzy się zdrada, wroga propaganda, terror. Emigracyjni politycy ślą instrukcje i rozkazy nakazujące prowadzić sabotaż i dywersję przeciwko „komunistom”, nie podejmować współpracy z partyzantką radziecką czy GL-owską, lecz także z regularną Armią Czerwoną. Więc znów niepotrzebna śmierć tysięcy i setek tysięcy patriotów, żołnierzy i bojowników.

Po drugiej stronie frontu, ciągle jeszcze dymią kominy obozów koncentracyjnych, odbywają się egzekucje, trwają łapanki. Śmierć nieublaganie krąży nad ziemią, do której szli zarówno ci spod Lenina, jak i ci spod Falaise, spod Monte Cassino, spod Arnheim... Tylko, że drogi były różne, nie zawsze najkrótsze.

Ale rok czterdziesty czwarty był także rokiem rodzenia się nowego oblicza Polski, był „rokiem polskich przeznaczeń”.

Dotąd żaden z naszych pisarzy politycznych nie ujął tak szczegółowo, tak śmiało, sze-

roko, a zarazem z wielką znajomością przedmiotu, pierwszych dni i pierwszych miesięcy owego trudnego, przełomowego i niezwykłego w naszej historii współczesnej roku.

E. I.

Zbigniew Żalusiński: Czterdziesty czwarty. Sp. Wydawn. „Czytelnik”. 1970. Wydanie VI. Stron 540. Cena 10.— zł.

### ZIEMIE ZACHODNIE I PÓLNOCNIE

Powrót Macierzy ziem polskich do Prastarych od dawna stał się faktem dokonany. Nieprzypadkowo Edmund Męclewski, publicysta i komentator, sięgnął do tego właśnie tematu w swojej książce „Ziemie Zachodnie i Północne”. Przecież w obliczu narastającego rewizjonizmu stało się nieodzowną potrzebą pokazania tej części Polski w jej rozwoju historycznym i w dniu dzisiejszym.

Na Zachodzie ciągle są pod sycane mity o minionej świetności tych ziem jaką rzekomo osiągnęły w okresie niemieckiego panowania. Mówi się tam od dwudziestu pięciu lat, że obecnie ziemie te przeżywają pogłębiający się regres. Męclewski dysponuje materiałami źródłowymi zarówno polskimi jak i niemieckimi, podaje zestawienia, porównania i dowodzi, że w okresie przy należności do Niemiec ziemie te przeżywały stagnację gospodarczą i kulturalną, że pa noszył się tu terror antypolski, że nastąpił upadek kultury. Oparając się na danych liczbowych, na statystyce, mó-wi także o rozkwicie tych ziem po powrocie w prastare granice, o dorobku polskiego ćwierćwiecza na Ziemiach Odzyskanych oraz o perspektywach ich rozwoju.

Książka Edmunda Męclewskiego jest zatem dokumentem niezbędnym dla uzupełnienia wiedzy o tej części i znaczenia kraju, jako że warto znać zarówno ich historię jak i dzień dzisiejszy.

E. I.

Edmund Męclewski: „Ziemie Zachodnie i Północne”. 1970 r. Wyd. MON. Str. 176. Cena 6.— zł.

## Dylematy inżynierów

Na żółtopiaskowej skarpcie, pokrytej ogródkami i małymi domkami jednorodzinny, co chwila słychać ryk obciążonych sa-mochodów, jadących na niskim biegu. Wiele z nich zatrzymuje się przy małym sklepiku, w którym zawsze jest tak długa kolejka kierowców, że nie wszyscy mogą się zmieścić.

— Szefowa, dwa piwka i maślankę. Nie muszą długo czekać, piwo i wino dostaje się tu bez kolejki. Co innego, gdyby tylko maślankę, wtedy sklepowa od razu replikuje: —

Za kolejką, tu musi być inteligentnie.

Kierowcy mają chyba żołądki bez dna. Taki zestaw wędruje do ich gardel przeciętnie co trzy godziny, co drugi kurs. Potem wywrótki z piaskiem i wielkie ciężarówki z armaturą stalową i wielkimi płytami styropianu ruszają ze zgrzytem.

W pokroju przedstawiciela inwestora w jednej z kilkunastu te-czek z dokumentacją czytamy: „ze względu na wysoki stopień trudności, kolejne stadia budowy należy przeprowadzać ściśle według instrukcji”. Termin oddania do rozruchu chłodni skladowej, pierwszej w tym mieście, mija za dwa miesiące.

Kierownik budowy jest dobrej myśli. Uważa, że termin zostanie dotrzymany. Nie wszyscy jednak podzielają optymizm. Jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia. Najwięcej kłopotów sprawia zmontowanie dzie-sięciu radzieckich sprężarek. Zresztą codziennie pojawiają się nowe trudności. Kilka rozwiązań konstrukcyjnych zastosowano po raz pierwszy. Jak je realizować? Czy się

sprawdzą? Czy nie trzeba będzie powtarzać niektórych partii budowy jeszcze raz?

Budowa obejmuje obszar czterohektarowy. Pracują tu robotnicy z dwóch przedsiębiorstw budowlanych i jednego specjalistycznego, montażowego. Masa ludzi. Trudno nimi kierować, nie można znać wszystkich.

— Jak się chce znaleźć, powiedzmy, elektryka — mówi kierownik, to nie warto go nawet szukać po tych zakamarkach. Lepiej stanąć gdzieś w widocznym miejscu na placu i czekać. Szybciej się go spotka.

Robotnicy mają nieco inny system. Zdradził mi go stary robotnicarz, który rozbijał przed budynkiem beczki ze smola.

— Jak mi kogo potrzeba, a nie widzę go tutaj, to, panie, zaraz idę na dół do sklepiku z piwem. Tam moż-na znaleźć nawet największego leś-nika. Zresztą niech pan sam idzie i zobaczy. Zawsze tam paru naszych stoi.

Na budowie pracuje dużo młodych. Z wąsami, z brodami. Czasem długie włosy. Z autobusu wysiada-

ją w kolorowych koszulach, obcisłych, welwetowych spodniach, skarpetach w paski i wysokich, zam-szowych butach, chociaż lato w pełni. Potem to wszystko zamieniają na granatowe kombinizony i szerokie, gumowe buty. Często to ich pierwsza w życiu praca. Pierwsze zarobienie samodzielnie pieniądze. Ta budowa nauczy ich praw i zwyczajów, panujących wśród starych, doświadczonych budowlarzy. Rodzina daleka, niekiedy na drugim krańcu Polski. Teraz rodzinę ma zastąpić im budowa.

Wchodząc za inżynierem po drabinię na pierwsze piętro. Tu, gdzie stoją parowniki, będzie świetlica dla osób pracujących w chłodni. Padają parametry techniczne. Widać, że jest dumny ze swej pracy. To wielka satysfakcja tworzyć coś nowego. Gdy przyjechał tu, na piasku rosły tylko wysuszone słońcem liście trawy, których nawet miejscowe krowy jeść nie chciały. I tylko, osiedlowe dzieciaki w krótkich majtkach i z wymazanymi farbą twarzami, przeżywały przygody dzielnych wodzów

czarwonoskich szczerpów. Nie było niczego. Sieci prądu elektrycznego, wody, dróg. Musieli od tego zacząć.

Postawiono stację transformatorów, wydrążono głębinową studnię. Opalenia na brzo robotnicy ułożyli trylinową drogę, po której potem wracali codziennie dwa kilometry do najbliższego autobusu. Od tego czasu wiele tłustych plam na rzecze dopłynęło do Zatoki Gdańskiej i wiele twarzy zmieniło się na budowie. Zostali najtwardsi. Stary pracownicy, którzy budowali jeszcze stalownię w Nowej Hucie i młodzi, którzy zamakowali w pionierskim trybie życia.

— Te, strażak, zgaś — głos spawacza siedzącego na wysokiej drabini.

— Nie pali się — odburknął chłopak, który z gaśnicą u nog beztro-sko palił sporta na worku cementu.

— Gaś! Nie widzisz, że się pali! Po co cię posadzili? — nie wytrzymał inżynier.

Strażak nie wyjmując papierosa z ust, przydepnął butem stróżkę dymu i spokojnie rozsiadł się na worku.

— Gaśnicę polej, po co ją masz. Chcesz spalić całą budę?



# Historia polskiego proletariatu

Rozmowa z prof. dr Stanisławem Kalabińskim

Pracownia Dziejów Klasy Robotniczej w Polsce, którą w Instytucie Historii PAN kieruje znany badacz dziejów najnowszych, prof. dr Stanisław Kalabiński, podjęła zakrojone na szeroką skalę kompleksowe badania dziejów polskiej klasy robotniczej. Zyskały one już szeroki rozgłos.

— Panie Profesorze, jakie są najogólniejsze cele tych prac?

— Aktualny stan historiografii polskiej, a zwłaszcza polskiego ruchu robotniczego potrzeba zbadania historycznej genezy i rozwoju klasy robotniczej, która stanęła na czele kraju.

Dzieje klasy robotniczej w Polsce, jej miejsce i rola w życiu narodu, należą do zagadnień stosunkowo mało zbadanych. Dotychczasowe bezsporne osiągnięcia w tej dziedzinie badań nie mogą przesłaniać faktu ich rozproszenia i fragmentaryczności. Brak dotychczas koordynacji i planów kompleksowych, opartych na nowoczesnym warsztacie badawczym i nowoczesnej metodzie. Nie wykorzystywano dotychczas szerzej doświadczeń dyscyplin pokrewnych, takich, jak: ekonomia, socjologia, demografia, historia kultury, etnografia itp.

— Jakie znaczenie, poza czysto poznawczym, ma takie ujęcie problemu?

— Oczywiście polityczne. Przeciwniejsi ideowe i wychowawcze, które wypływają z przeszłości stulecia historii klasy robotniczej i ruchu robotniczego, stanowią niezwykle istotny element kształtowania współczesnej świadomości społeczeństwa polskiego.

— Czy nie zechciałby Pan zdradzić, jakie są konkretne plany badawcze kierowanej przez Pana pracowni?

— Utworzona w 1968 roku, w Instytucie Historii, pracownia postawiła sobie generalne zadanie opracowania w nadchodzącym pięcioletnim kilkutomowej syntezy dziejów klasy robotniczej na ziemiach polskich, od jej początków w drugiej połowie XVIII wieku, aż do czasów współczesnych. Dotychczas przedyskutowano już założenia całości i konkretne tezy tomu pierwszego, obejmującego chronologicznie okres od końca XVIII do połowy XIX wieku.

— To chronologia — a tematyka syntezy?

— Zakres tematyczny syntezy powinien obejmować trzy zasadnicze kierunki badawcze

Po pierwsze, powinniśmy zbadać źródła i drogi rekrutacji klasy robotniczej, mechanizmy kształtowania się jej anatomii społecznej, ustalić przy pomocy statystyki demograficznej jej liczebność i rozmieszczenie terytorialne, i to zarówno proletariatu jako całości, jak też jego poszczególnych oddziałów. Zbadać strukturę klasy i jej przemiany, skład, uwarstwienie, oraz problematykę proletaryzacji kraju.

Po drugie, synteza powinna odpowiedzieć na pytanie, jaka była sytuacja spo-

łeczna, polityczna i pozycja prawna klasy robotniczej w całokształcie struktury społeczeństwa polskiego. Powinna dać obraz położenia ekonomicznego — szeroko pojętego, jak również ukazać warunki: bytowe życia codziennego, stosunki rodzinne, obyczajowości, kulturę i oświatę, aktywność produkcyjną etc.

Po trzecie, w syntezie chcemy ukazać proces kształtowania się i rozwój świadomości społecznej, politycznej i narodowej oraz narastanie i przebieg walki: ma sowej ekonomicznej i politycznej, jak również narodowowyzwoleńczej proletariatu.

— Tak szeroko zakrojone badania wymagają oczywiście odpowiednich przygotowań. Co dzieje się w tym zakresie?

— Niewątpliwą pomocą w komplekso-



Fot. A. Wach

wych badaniach nad dziejami klasy robotniczej będą przygotowywane przez naszą pracownię tematyczne zbiory studiów i rozpraw pt. „Polska klasa robotnicza. Studia Historyczne”. Pierwsze dwa tomy ukażą się jeszcze w roku bieżącym. Zdołaliśmy pozyskać współpracę, lub jej zapowiedź, historyków Warszawy, Łodzi, Katowic, Wrocławia, Poznania, Torunia, Gdańska, Białegostoku. To szerokie opar-

cie się o wyniki badań prowadzonych w całym kraju, oparonych o różnorakie doświadczenia metodyczne i warsztatowe prowadzi do pełniejszej analizy stanu badań i naszej wiedzy o tematyce klasy robotniczej. Prowadzi to również do nowych wspólnych inicjatyw badawczych, koordynacji wysiłków. Ma to jeszcze i to znaczenie, że tak pomyślane badania pozwolą na sprecyzowanie marksistowskich wytycznych metodologicznych opartych na empirycznych doświadczeniach.

— A prace monograficzne, indywidualne?

— Oczywiście nie pracuję sam — problematyką dziejów klasy robotniczej zajmują się naukowcy tej miary, co prof. dr Ryszard Kołodziejczyk, badając aktualnie początki klasy robotniczej w Królestwie Polskim, prof. dr Walentyna Najdus, badająca dzieje klasy robotniczej w Galicji, doc. dr Kazimierz Wajda, badacz dziejów klasy robotniczej Wielkopolski i Poznania, doc. dr Krzysztof Gronowski, który zajmuje się proletariatem rolnym. Poza tym mgr Krystyna Murzynowska pracuje nad dziejami emigracji polskiej w Niemczech. Są też doktoranci: Maria Dorota Kowalska, pracująca nad zupełnie nie opracowanym dotychczas tematem, jak: kształtowanie się świadomości narodowej proletariatu polskiego w latach rewolucji 1905—1907. Dwaj inni doktoranci: Mieczysław Markowski i Stanisław Meducki badają region kielecki i położenie klasy robotniczej województwa kieleckiego — pierwszy w latach międzywojennych, drugi — w okresie okupacji. Poza pracownią w zespole warszawianów pracuje nad tematyką klasy robotniczej dr Zbigniew Pustula.

— Co stanowi szczególne novum w pracach kierowanych przez Pana Profesora?

— Przede wszystkim kompleksowość ujęcia problemu, wymienianie doświadczeń, koncentracja. Syntetyzować chcemy nie przez egzemplifikację, ale przez możliwie

kompleksowe ujęcie, dokonywał się w dramatycznej walce politycznej z klasami posiadającymi. Była to walka polityczna o hegemonię nad masami ludowymi.

— Do jakich ogólnych wniosków sprowadza się Pan Profesor doświadczenia w toku owych kompleksowych badań?

— Już dotychczasowe osiągnięcia badań czyste pozwalają stwierdzić, iż najszerzej pojęte interesy klasowe proletariatu, tak w bezpośrednich jak i końcowych celach jego walki, mieściły się bez reszty w interesach całego narodu, a w momentach przełomu dziejowego, stawały się motorem walki narodowowyzwoleńczej. We współczesnych nam układach stanowią przeciwieństwo główny czynnik tworzenia państwa socjalistycznego. Proszę zwrócić uwagę, że od upadku powstania styczniowego przez blisko pół wieku nie istniał żaden masowy ruch antycarski, oprócz ruchu klasy robotniczej, która w 1905 roku stanęła do rzeczywistości masowej walki z caratem, stanowiąc dlań istotne zagrożenie.

Rewolucja 1905 roku, której inicjatorem i motorem była klasa robotnicza, stała się punktem przełomowym, od którego datuje się nowy jakościowo wzrost aspiracji narodowowyzwoleńczej narodu polskiego. Jak z tego widać? Otóż efekty badań dziejów klasy robotniczej powinny rzutować i na zagadnienie poznania więzi między masowym ruchem proletariatu a oddziaływaniem partii robotniczych na poznanie mechanizmów mobilności politycznej proletariatu i jego oddziaływania na inne warstwy narodu. Efekty tych badań pozwolą na pogłębienie spojrzenia na problematykę miejsca i roli partii robotniczej jako awangardy całej klasy robotniczej.

Jeszcze jedno zagadnienie badawcze, to poznanie dróg i metod wnoszenia do klasy robotniczej elementów świadomości klasowej, świadomości socjalistycznej, zbadanie procesu jednoczenia się żywego ruchu klasy robotniczej z ideologią socjalizmu i organizacją partii robotniczej oraz roli inteligencji w tym procesie. Wreszcie będziemy starali się ukazać drogi i okoliczności, w których walka proletariatu o bezpośrednie, własne interesy klasowe przekształcała się w walkę społeczną i polityczną przeciw klasom posiadającym, przeciw państwowemu aparatowi ucisku, w toku której następowała już identyfikacja dążeń awangardy proletariatu z potrzebami i dążeniami całego narodu.

— A jak by Pan, Panie Profesorze, podsumował najkrócej ogólny cel tych badań, czemu one mają służyć?

— Wszystkie te badania podporządkowane będą jednemu założeniu: aby zrozumienie miejsca klasy robotniczej w najnowszych dziejach społecznych i politycznych Polski stało się integralną częścią spojrzenia na polski proces historyczny w ostatnim stuleciu, aż po nasze dni.

— Gdzie ukażą się projektowane przez Pana Profesora wydawnictwa?

— Zarówno synteza dziejów klasy robotniczej jak i Studia Historyczne oraz wydawnictwa źródłowe i planowane monografie ukażą się nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Wzajemne współdziałanie w tej dziedzinie, zainteresowanie Redakcji Historii tego Wydawnictwa naszymi inicjatywami wydawniczymi wpływa dodatnio na intensyfikację podjętych badań, a równocześnie daje gwarancję, że efekty badań monograficznych i syntetycznych znajdą właściwą oprawę wydawniczą i że szybko dotrą do czytelnika, i to możliwie do najszerszego czytelnika.

ROZMAWIAŁA: HALINA GRABOWSKA

— Polistyren się nie pali.

— Nie gadaj, tylko polej. Nie pali się, ale smaży. Jak złapie, to tak szybko się skopci, że nie zdążyś stąd nawet tyłka uratować.

To wdrożenie trafiło od przekonania „strażakowi”, bo postusznie siknął gaśnicą kilka razy na dym. Przeszło się tlić.

— Najgorsza rzecz z takim. Bohater, Usiądź i gapij się. Lekceważysz sobie wszystkie ostrzeżenia. Niczego nie robi, póki go ktoś nie objędnie. Smarkacz nie chce rozumieć po polsku. Tak spaliła się chłodnia w Krakowie, a o mało co podobnie byłoby i w Gdańsku.

Przez chwilę szliśmy po dachach, ciemnych korytarzach, po których jeszcze snuły się reszki dymu. Nie rozmawialiśmy. Inżynier był zdenerwowany.

— W Gdańsku — przemówił nagle — straż nie wiedziała, co tam może się palić. Widzą: beton, stal, aluminium. Same tworzywa niepalne, a dym wali. Nie wiedzieli, co gasić. Nie domyślali się, że wewnątrz ścian są warstwy styropianu. Czasu na wyjaśnienia nie było. Sa-

mi ugasił. Oni podawali nam tylko gaśnice.

Doszlismy do wielkiej hali mroźniczej. U jej stropu spawacz roziskrzali snopami jasnych, ruchomych punktów aluminiowe płyty blachy. To jedna z głównych komór. W przyświatłości będą tu spoczywały zwaly mięsa siedmiometrowej wysokości, mrożonki i jaja. Technika zamrażalnicza pozwala na przechowywanie produktów spożywczych przez długie okresy czasu.

Młody chłopak w kraciastej koszuli nałożył łopatą cement do nie-miłosiernie brudnego wiadra.

— Andrzej — krzyknął do góry, tam, skąd wychodził przymocowany do wiadra sznur.

Nikt mu nie odpowiadał.

Szarpnął kilka razy za sznurek.

— Andrzej, już pełne. Ciągnij! Kilkakrotne wołanie nie przyniosło rezultatu. Musiał wreszcie wleźć od drugiej strony na dach. Stojąc nieco dalej z boku doskonale widział owego Andrzeja. Leżał na dachu oparty o blaszany przewód wywietrznika. Oczekując na wiadro zasnął sobie w najlepszej. Godzinę

wcześniej widziałem obu w sklepiku jak obciągali swoje „regulaminowe” piwka. I znowu tematem tego reportażu staje się sklep, chociaż miała to być tylko budowa. Bo budowa i sklep to jeden organizm. Robotnicy są skazani na żywienie się wyłącznie tym, co można tu kupić. Można dostać piwo (wprawdzie dopiero o ósmej, ale za to dużo i codziennie). Cztery gatunki najtańszych win, pićcywo, ser, chleb, mleko. Żadnych wędlin. Dwa gatunki konserw. Ale najwięcej jest piwa.

— Zawsze tak układam sobie harmonogram pracy, aby przez dwa dni po wypłacie w ogóle nie być na budowie — zwierzył mi się kierujący grupą instalacyjną inżynier. — Wyjeżdżam wtedy przeważnie do zarządu przedsiębiorstwa pozalaćwać różne sprawy, których zawsze jest wiele. Nie chcę tutaj być i nie widzieć. W innym przypadku, aby wszystko było zgodne z przepisami, musiałbym wyrzucić więcej, niż połowę pracowników. A kto by wtedy tu robił. Nowych nie znajdzie. Specjalistów jest o wiele za mało w stosun-

ku do potrzeb. Ciężkie warunki pracy odstrasza wielu chętnych. Zwolnieni wcale by się nie zmartwili. Przyjęto by ich zaraz z otwartymi rękami w innych przedsiębiorstwach. Pokiwał głową i wyjrzał przez zakurzone okno na plac budowy. Chwilę przyglądał się czemuś z zainteresowaniem.

— Proszę mnie zrozumieć. To konieczność. W innym wypadku w ogóle bym nie skończył budowy. W takich ciężkich warunkach, na odludziu, niewielu da się namówić na pracę — powtórzył raz jeszcze. — Wiem, że przez pierwszych kilka dni niektórzy potrafią przepić całą swoją pensję i połowę następnej. Zdarza się, że trzy, cztery dni po wypłacie przychodzi prosić o zaliczkę na następną wypłatę albo o prywatną pożyczkę — nie mają za co kupić śniadania. A przecież zarabiają całkiem nieźle. Często powyżej trzech tysięcy miesięcznie. Ale to stary i zakorzeniony zwyczaj, aby opić po wypłacie. Zanikł on może w miastach, ale na takich budowach, to nasza zmosfera.

Spędziłem na tej budowie trzy

dni. Padał deszcz. Ludzie w ciężkich warunkach pokonywali przeciwności aury i terenu. Niektórzy z nich, niżymierowie i technicy kierujący robotami, musieli pokonywać jeszcze inne trudności — naturę niektórych ludzi.

W czwartek, ostatniego dnia mojego pobytu, inżynier, który odsłaniał mi tajemnice budowy, zaraz po pracy pojechał na pocztę. Jak co tydzień dzwoni do domu. Woli z pocztą, choć mógłby skorzyć z telefonu służbowego. Ale tam spokojniej i nikt nie słyszy o czym rozmawia z żoną. W sobotę pojedzie. Jak co tydzień, od kilkunastu miesięcy. Znowu przez kilka godzin stanie się normalnym człowiekiem w garniturze. Zasiadzie do niedzielnego śniadania z żoną i synem. Weźmie go na kolana. Popatrzy, jak wyrósł przez ten tydzień. Pójdą gdzieś razem na spacer, albo do kina. Potem znów pociąg, nieprzespana noc i znowu budowa. Jego budowa.

Inwestorzy wierzą kierownikowi, że chłodnia ruszy w pierwszym terminie. Zaangażowano już część przyszłych pracowników.



MICHAŁ DALECKI

## Przystanek na moście

**D**robne ulamki lodu i bryły zmarzniętego śniegu wygładzały z wysokości mostu jak strzępy piany, albo jak baraszkujące stadko kaczek. Szybko sunęły z prądem, niknęły za kłębami lodu i znowu pojawiały się ale już nieopodal zamku na lewym brzegu wody. Po przeciwnej stronie przywarło do rzeki niewielkie miasteczko, które słynęło niegdyś w całym powiecie z targów końskich. Dawne to dzieje, kiedy miasto było ludne i ponoć zasobne. Po tej świetności pozostała wieża kościoła i tegie mury opactwa. Nie były to wprawdzie zbyt imponujące budowle, przecież górowały nad niskimi domkami mieszczan.

Znacznie lepiej wyglądał zamek z okrągłą wieżą postarzoną na szczycie jak koronka z kołnierza, podobnie nacięte są mury, a ściślej ich fragmenty. Te nacięcia to blanki — zza nich rycerze razili napastników.

Kościół i zamek stanowiły jakby wrota, stare już i przez czas nadszarpięte. Przez te na dwa brzegi, rozwarłe wieże, wartko przeciekała rzeka. Rozległość panoramy potęgowała biel śniegu zalegającego aż po ciemniejącą w oddali krechę lasu. Oglądanie tego obrazu z mostu da się porównać do filmu o dawnych czasach. Ale most to dzień dzisiejszy. Okazały, długi na dwie setki metrów, zlepiony z żelaza i betonu unosił się nad rzeką na grubych filarach dzielących rzekę na dwie strugi. Mocą i wielkością równo wazył w krajobrazie wyniosłość zamku i kościoła.

Ludzi widać niewiele. Z rzadka przechodzą kobiety z koszykami, których zawartość przenoszą z miasteczka do pobliskiej wioski. Czasem przejeżdża sanki, chłopak na hała sującym motorze, wyrętki kopące wyzywające papierosy. Za to samochodów widać sporo, ośnieżone, ciężko przewalają się przez most to w jedną, to w drugą stronę.

Kiedy się ma dużo czasu i jest się w nieznaną okolicę, nawet rzeczy drobne interesują, a spojrzenie z zewnątrz oglądany obraz przekłada na język własnego rozumienia. Zwyczajnym wydarzeniom nadaje się sens metaforyczny albo po prostu taki, jaki się im chce nadać. Jest to zabawa o tyle ciekawa, co użyteczna, wspaniała, tak zresztą jak każda mistyfikacja. Pozwala przecież zapelnąć czas oczekiwania na niepewnym przystanku autobusowym w kiepską pogodę i w porze obiada.

Teraz przez most od strony wsi idzie wolno mężczyzna w watomanej kurtce a koń, który parszając coraz to łbem podrzuca szarpie męczyznę do tyłu i na bok. Koń jest zgrabny, młody, nakrapiany siwek. Właściciel dobrze już spoczął, poprawia czapkę z opuszczonymi nausznikami i odrzuca niedopałek papierosa za balustradę do rzeki.

— Spokój, cholero — pogaduje chłop do konia i podciąga rzemień uwiązany u pyska.

Siwek idzie parę kroków statecznie, tylko parska głośno, a para gestym obłokiem otacza męczyznę. Ale teraz koń znowu targa łbem i drobi kopytami ubity śnieg i szarpie się jakby chciał przesadzić barierę, więc męczyzna jeszcze skraca wędzidło.

— Zmęczyl was — mówię do gospodarza.  
— O, zmęczyl mnie cholera — odpowiada.  
— Pewnie młode to jeszcze i dlatego...  
— Dwulatek proszę pana, dwulatek. A bystra gadzina nie ma co.

Zwolnil nieco kroku przez grzeczność a i okazja do odpoczynku sama się nadarza. Jak się człowiekowi nie spie

szy, to i ochota większa do rozmowy, więc choć naiwnie i z miejską, znowu zagaduje do właściciela konia.

— Lubicie go gospodarzu...  
— A jakże nie lubić — mówi — przecież to swoje, a i do roboty zdatny.

Poklepał konia po karku, widać, że z przyjemnością, bo miał ochotę jeszcze zagadać, ale zwierzę znowu zaczyna się niecierpliwie.

— No to chodź diabło, pora na ciebie. Trzeba mi iść, mówi chłop, a pan tak patrzy na zamek?

— I na zamek i na kościół. Bardzo tu ładnie.

— Pewnie że ładnie — rozejrział się po okolicy. Zamek po remoncie a w środku restauracja z obsługą, sami lepsi goście tu przyjeżdżają. Na różne takie narady — dodał jak by poufnie Samochody zostawiają koło przystani. No, stój, zaraz idziemy, co ci się tak spieszy, diabło. Ludzie czasem zachodzą, ja nie, za daleko, z mostu też widać że tam ładnie. A w kościele proszę pana są organy, tylko organista odkad się ożenił, w powszednie dni nie gra. Nie ma czasu, ale jak zagra na sumie, to panie, jakby niebieska orkiestra.

— Pewnie żadnej sumy nie opuszczacie z powodu tego grania. Lubicie słuchać...

— Lubić lubię, a jakże, ale chodzić to nie, za daleko, do Wolków bliżej, tylko trzy kilometry.

— No to skąd wiecie, że organista tak ładnie gra...

— Panie, ludzie wszystko wiedzą. Niektórzy powiadają, że organista też by chętnie grał jakby jej zapłacili, taka pazerna na pieniądze. E, ty, stój — stój mówię! Już idzie my... Ona panie swjemu radzi grać na weselach, nawet mu harmonię kupiła. Tak, sprytna baba. Za gospodynią była u księdza, tego co się do powiatu przeniósł. Teraz jest tu taki młody mówią, że wycieczki to sam po kościele le oprowadza. Dogadał się już z przewodniczącym rady, mają jeszcze dzwonnice naprawić i ogrodzenie i boczny ołtarz odnowić. Bo wie pan, ten ksiądz to tutejszy, z Ukłejowa. Znają go tu wszyscy a i władzom też to na rękę. Pan się uśmiecha? Nie trzeba, od nas wielu się już wybiło. Wojskowi są, lekarze, dwóch nauczycieli, a mój chłopak też rwie się do szkół, niech mu tam bystry chłopak, da sobie radę... no już, już — widzi pan jaki narwany. Autobus pewnie zaraz nadjedzie, chyba że się spóźni, ale tu widok ładny, przyjemnie popatrzeć.

Znowu podciągnął rzemień, koń zamachał ogonem i ta nieczym krokiem poszedł za gospodarzem. Na śniegu zostały ślady podków nierówno rozmieszczone pomiędzy śladami gumiaków. Od rzeki wionęło przejmującym chłodem mieszaniny wilgoci i mrozu. Nad zamkiem ciemniała smuga dymu, pewnie w kuchni zabrali się do zrykowania obiada. Trudno się zdecydować — czekać na autobus, czy zjeść obiad w zamkowej restauracji.

Wzmógł się wiatr, drobny ostry śnieg zacina z ukosa, kłuje w policzki i oślepia. Długo stać nie można, chyba trzeba skorzystać z jakiejś „okazji”, ale teraz to i ciężarówek jakby mniej, od dłuższej chwili nie.

Od strony miasteczka dał się znowu słyszeć głos nawołu jacy konia. Ten sam człowiek w watomce pokrzykiwał niecierpliwie ale bez widocznej złości i jakby z nawyku.

— No siwek, wio, ruszaj się diabło.

Śnieg już prószył gęsto więc i koń i chłop wlekli się nie mrawo skrajem drogi, której ubita skorupa pokryła się pu szystą warstewką prawie na grubość podeszwy. Nie trzeba było zagadywać, chłop zatrzymał się i przyciągnął konia do samej balustrady.

— Myślałem sobie — pojechał pan, czy nie pojechał, bo robi się paskudnie. W takiej śmie szofery nie lubią jeździć.

— Chyba pójde zapytać, może w restauracji czegoś się dowiem.

— Niby w zamku, tak? Pewnie że będą wiedzieli, a i telefon mają, to raz dwa i już wiadomo, a i ogrzać się można. Już się tu panu pewnie mniej podoba, co? Tak to jest panie, jak ładnie, to ładnie, ale jak się zrobi, tak jak teraz — to i psa szkoda wypędzić. Temu mojemu też niewesoło.

Patrzę na konia, stoł ze spuszczonego łbem jakiś mniej szy i nieruchomy. Śnieg mu już przyprószył grzywę i ogon bezwładnie zwisający prosto do pecin. Między zadnymi kopytami czerwieni się żywą barwą krew.

— Co się stało?

— E, nie takiego. Jak pan tak stał tam na przystanku, byłem u weteryniarza. Pora już była siwka okaleczyć, za

barzo brykał, a za miesiąc zaczęła się robota, to i poszedłem.

— Ale dlaczego on tak krwawi?

— Bo to jeszcze świeże, zalał mu jodyną jak trzeba, a że świeże, to i krwawi. Sto złotych wziął panie, drogi drań, no ale dziś przecież sobota. „Narzędzia, mówię, już oczyszczone i schowane druki w kasie”. Wielkie mi narzędzia, coś jakby cegi, a potem trochę jodyny i białego proszku. Sam bym to zrobił, tylko że potrzebne zaświadczenie, bo jakby co, nie dadzą odszkodowania.

— Czy inaczej tego nie można, tylko tak brutalnie?

— E, co też pan, przecież to nie człowiek.

— Ale czy wy nie rozumiecie, że zwierzę też cierpi, przecież...

— To mu właśnie podsypał proszkiem, pewnie za mało jak za setkę, pewnie za mało.

Koń ni to zarzał ni zajęczał boleśnie. Poruszył się, prze stąpił z nogi na nogę, para z nozdrzy kłębem opadła na śnieg.

— Niech się pan nie martwi, przejdzie mu, tylko muszę z nim trochę pochodzić. To zwyczajna rzecz, może jak się pierwszy raz widzi tak jak pan na przystanku, pewnie to i dziwne... No czas na mnie — powiedział pospiesznie jak by usprawiedliwiając moje naiwne strapienie, albo karząc się za przedłużanie rozmowy. — Ruszaj gadzie jeden.

Poklepał konia po wygiętej szyi i po pysku. Siwek po patrzył na pana i wolniutko podreptał z pyskiem blisko jego pleców. Rzemień zwiślał swobodnie prawie do ziemi.

— Niech się pan nie frasuje, to zwyczajna rzecz — krzyknął jeszcze z daleka chłop.

Ciągnęły się za nimi pasemko świeżej krwi, równo bieg nace między wyraźnie odcisniętymi w śniegu śladami kopyt.

W śnieżnej zawiłej zniknęła tablica ze znakiem przystanku autobusowego. Trzeba się zabrać z pierwszą „okazją”, albo zająć do zamku na obiad.



Rys. E. Ingłot

JAN JUSZCZYK

## Drzewo

To drzewo ściga mnie  
cieniem spekanym i suchym,  
pełne rak uciętých i ciepłych  
jak świeża krew, drzewo  
z rozbitym gniazdem  
szpaków.

## Erotyk

Dotknęłaś mnie  
dotknięciem oczu,  
dopełniłaś  
słonecznym dreszczem,  
a ja proszę —  
dopełnij mnie jeszcze  
rózdzką ciepła.  
I tak się boję,  
żebyś nie uciekła  
w pustą chłodną wieczór,  
bo bym słońca Twoich spojrzeń  
nie czuł.

RAFAL ORLEWSKI

## Delta

Byłem dla ciebie prądem rzeki  
kiedy płynęłaś w moje morza  
Ty byłaś dla mnie świeżym mlekiem  
gdy płuca trawił ślepy pożar

Lecz popłynęłaś środkiem wody  
a ja wróciłem szukać źródeł  
i zamiast mlekiem — goję wrzody  
ze ścieków zaczerpniętym brudem.



FELIKS RAJCZAK

## Okna

Oto okna wstawione w powietrze  
Moja przeszłość przez jedno wypadła  
Widzę drogi jej w pyłe południa  
Obchodzące dom kamień i jabłoń

Inne okno jest puste jak przyszłość  
Wieżą przez nie marzenia dalekie  
Wiem: tu ptaki nadciągną i pszczoły  
Tu wystawią złocistą pasiekę



Odprowadzam cię na ementarz  
W tej przestrzeni — od polany  
Do ostatniej żywej gwiazdy  
Przeszły przez nią pokolenia  
Przeleciały stada wron  
Wymieciona welonami  
Wchłania w siebie kir i dzwon  
Nasze oczy niebo miażdży  
Popiołem leczymy rany —  
Żyłaś tutaj więc pamiętasz



Wspomnienie  
o Michale  
Orliczu



Fot. H. Smigacz

Jednym z przyjaciół Michała Orlicza (a przyjaciół miał On bardzo wielu) był Jan Kiepusza. Kiedy więc ten znakomity śpiewak przyjechał po wojnie do Łodzi na gościnny koncert, zaraz po przywitaniu się ze mną zapytał: „A co się dzieje z Orliczem? Cóż to za przemily i kulturalny człowiek! A jaki erudyta! Jaki znakomity znawca teatru!”

Jan Kiepusza wyraził się wówczas pięknie o M. Orliczu, niemniej nie było to określenie pełne. Zabrakło tu jeszcze zasadniczego dopełnienia: „gorący działacz społeczno-kulturalny, niestrudzony propagator teatru i kultury żywego słowa”.

Znawców teatru mamy w Polsce wielu. Ale M. Orlicz był jednym z tych, którzy, kochając scenę, chcieli zarazić bakcylem tej miłości również i innych. Szybko też znalazł wspólny język z wielkim entuzjastą teatru, z Juliuszem Osterwą i w r. 1925, po przyjeździe z Wiednia, gdzie pożytecznie propagował kulturę polską, wszedł w skład słynnej Reduty jako jej długoletni potem sekretarz i kierownik literacki. W tym czasie przystąpił do opracowania swojej kapitalnej książki pt. „Polski teatr współczesny”, wydaną w r. 1932.

Po wojnie osiedlił się na stałe w Łodzi. Pracował tu w różnych dziedzinach życia kulturalnego. Był dziennikarzem, recenzentem, kierownikiem literackim teatru „Lutnia”, dyrektorem Teatru 7.15, prodziekanem i wykładowcą PWSTiF, a wszystkie te funkcje pełnił zawsze z jednakową sumiennością i entuzjazmem. Michał Orlicz nie był nigdy „urzędnikiem pracującym w kulturze”. Był to urodzony działacz społeczno-kulturalny o gorącym sercu i niespożytej energii. Rozwiniął też wiele inicjatyw działając w różnych związkach i towarzystwach — a przede wszystkim jako wieloletni

członek Zarządu Głównego Związku Teatrów Amatorskich i długoletni prezes Zarządu Wojewódzkiego ZTA.

Fascynowała Go nie tylko praca teatrów zawodowych, ale i scen amatorskich, ze szczególnym zaś zapalem oddawał się krzewieniu kultury żywego słowa i upowszechnianiu konkursów recytatorskich.

Praca ta pochłaniała Go bez reszty. Pamiętam jak nieraz wróciwszy z powiatowego konkursu eliminacyjnego, odbywającego się w dalekim miasteczku, wpadał do mnie do redakcji i już w progu wołał rozpromieniony: „Rewelacja! Nie masz pojęcia co za rewelacja! Szkoda, żeś nie słyszał jak wspaniale jeden z rolników recytował wiersze Norwida! Z jakim zrozumieniem wypunktowywał ich sens, jak znakomicie interpretował je!” Nie będzie też przesadą stwierdzenie, że niezwykła popularność, jaką w ciągu lat zdobył sobie na terenie woj. łódzkiego konkursy recytatorskie, jest w poważnej mierze zasługą właśnie M. Orlicza.

Władze nasze oceniły właściwie zasługi Zmarłego. Był On laureatem nagrody za upowszechnienie kultury, ufundowanej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, nagrody Prezydium WRN w Łodzi, otrzymał Oficerski Krzyż Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi i wiele innych odznaczeń.

Do odznaczeń tych z całą pewnością przybyłyby za parę miesięcy dalsze, nie mniej zaszczytne, albowiem w r. 1971 Michał Orlicz obchodziłby 50-lecie swojej pracy społeczno-kulturalnej.

Szkoda, że nie było Mu dane dożyć tej radości. Szkoda, że z szeregu propagatorów teatru i działaczy społeczno-kulturalnych naszego regionu ubył jeden z najlepszych!

MIECZYSLAW JAGOSZEWSKI

ANDRZEJ GRUN

# Inną monetą

Wystawa pamiątkowa jest podwójnie smutna. Człowiek, który namalował wiszące na niej obrazy, odszedł w inne pejzaże — ona sama jest bezapelacyjnym, definitywnym zamknięciem jego twórczości. Człowiek i jego sztuka dojrzała do swego kresu. Po człowieku pamięć trwa zazwyczaj krótko. Trwa przez życie ludzi, którzy go znali, a czasami trwa jeszcze krócej. Pozostaje dzieło, które Czas zaczyna egzaminować. Egzamin to trudny i żadne protekcje tu nie pomogą. Jeśli wypadnie pomyślnie, dzieło żyje, a w nim żyje człowiek, co je stworzył.

W czasie wojny dom moich rodziców w Warszawie odwiedzał często pewien stary malarz, przyjaciel ojca. Wszyscy nazywali go „malarzem od Morskiego Oka”. Zapomniałem jego nazwiska, lecz przydomek, jaki mu nadali przyjaciele, i znajomi utkwił mi w pamięci na zawsze. „Malarz od Morskiego Oka” — to działało na wyobraźnię, a nie wiedziałem jeszcze wtedy, co to jest Morskie Oko, ani jak wygląda prawdziwe góry. Był to dobry malarz. Później, kiedy byłem dorosły, a on już dawno nie żył, oglądałem jego obrazy — kulturalne, doskonałe pod względem warsztatu (jak u wszystkich zresztą z jego pokolenia — studiował na akademiach w Petersburgu, Monachium, Wiedniu) o świetnym rysunku, o przyjemnej, zgaszonej gamie barwnej. Wiele podróżował. W krakowskim mieszkaniu jego żona pokazywała mi pejzaże z Włoch, z południowej Francji, z Hiszpanii... Ale przeważało, jakie nosił, zawdzięczał swojej miłości do Morskiego Oka. Upodobał sobie ten skrawek pejzażu ponad wszystkie inne pejzaże na świecie — a widział ich przecież tyle. Malował Morskie Oko przestawiając sztalugę o metr, o dwa metry. Malował w różnych okresach swojego życia, o różnych porach roku, o różnych porach dnia... Malował z miłością i z pasją. Znał tam każdy kamień i każdą roślinę. Był to jego pejzaż. Pozostawił ogromną ilość płócien, rysunków, akwarel, szkiców, na których były góry, woda i niebo. Może pejzaż Morskiego Oka uosabiał dla niego najpełniej trzy mityczne potęgi — opokę, żywioł wody i żywioł powietrza. Może wracając z takim uporem do tego krajobrazu wierzył, że uda mu się wre-

szcze pokonać opór materii i przekazać innym te treści filozoficzne, które wynikały dla niego ze śpięcia kamienia, wody i bezkresu nieba i gor i nieba powtórzonych w wodzie. Może ten pejzaż był dla niego jakas prawda ogólna, z którą chciał i musiał się dzielić. Może Pozostawił obrazy, które świadczą o jego pasji i o jego miłości. Obrazy, których poza bliskim kręgiem znajomych nikt nie zna.

Czemu wspominam tego malarza o tak średnio-wiecznym przeżyciu? Bo jest dla mnie symbolem. Bo malarzy od Morskiego Oka jest wielu. Przypomniał mi się, kiedy stałem przed obrazami Stanisława Brzezińskiego. I dla jednego i dla drugiego sztuka nie była „głębokim fotelem” — była trudnym zmaganiem się, była walka. Tak już jest, że dla jednych proces tworzenia jest swobodną pieśnią, a dla innych męczącym i bolesnym zmaganiem się z opornym tworzywem, z samym sobą, z niedoskonałością realizacji własnych wizji.

Brzeziński nie miał łatwego życia. Mimo to obrazy powstawały, powstawały do ostatniej chwili i co ciekawsze, nie były to obrazy skargi czy żalu. Nie miał Brzeziński w swoim oku andersenowskie go odprysku z czarodziejskiego zwierciadła, które wypacza obraz świata, deformuje jego proporcje, zniekształca jak jarmarczne krzywe lustro. Widział on świat w jego barwach prawdziwych, nie urojonych. Widział blask słońca i ciemność nocy i te półcienie, które kładzie świt i zmierzch. Brzeziński nie czuł żalu ani do świata ani do ludzi, a jeśli nawet od-

czuwał żal, to krył go głęboko, w sobie. Nigdy nie uwewnętrzniał go w swoim malarstwie, nigdy spod jego pędzla nie wydarł się krzyk skargi. I tak powstawały obrazy, na które składały się godziny, dni, lata...

Można je oglądać rozwieszane na białych, obojętnych ścianach galerii. Malowane były wśród obojętności i milczenia. Czy można z nich odczytać historię ludzkiego życia? Nie sądzę. Można z nich natomiast wyczytać świadectwo postawy człowieka-artysty, dla którego najważniejszą rzeczą na świecie było malowanie...

Pokazano wystawę Brzezińskiego w telewizji. Czy musiała to być aż wystawa pamiątkowa, żeby trafić do telewizyjnego programu? Jak banalne jest to pytanie — jak stare. Lecz na wyciągnięcie wniosków nigdy nie jest za późno. Pozostali inni, którzy też będą musieli umrzeć, aby trafić do telewizji i do prasy. Będą musieli umrzeć, żeby doczekać się swojej wystawy, swojego dnia.

Nie płaci się w naszym kraju złotówkami za sztukę. I dlatego obowiązkiem naszym jest znaleźć inną monetę — płacić powinniśmy i musimy troska i zainteresowaniem. I wdzięcznością. Bo nie godzi się trudu ludzkiego życia kwitować wrzuceniem ramion.

P.S. Biuro Wystaw Artystycznych stanęło na wysokości zadania. Wystawę Stanisława Brzezińskiego w Salonie Sztuki Współczesnej przy ul. Piotrkowskiej opatrzyło katalogiem, w którym nie tylko zamieszczono słowa wprowadzającego, ale nawet noty biograficzne.



STANISŁAW BRZEZIŃSKI

„Przed koncertem”

ADAM OCHOCKI

## Dalszy ciąg nastąpi...

Czy wiecie dlaczego Józef Rutczak, apasz bałucki i sutener, nienawidził z całego serca Antka Kryspinę, młodego robotnika, o błękitnych, marzących oczach?

Czy wiecie dlaczego przemysłowiec łódzki, prowadzący swą „Hispano-Suisse”, zbroczył na cmentarzu i rozbił wóz o rodzinny grobowiec, ginąc na miejscu wraz z towarzyszącą mu żoną?

Czy wiecie z czego (chodzi o szczegóły anatomiczne) napil się wódki brodaty Griszka Rasputin w trakcie czulego tete-a-tete z carycą?

No właśnie, nie wiecie, ale gdybyście tak jak ja pilnie czytali odcinkowe powieści w przedwojennym „Expressie” łódzkim, o każdej porze dnia i nocy odpowiedzielibyście bezbłędnie na te pytania.

Bo też to były powieści! Przy nich bładły wszelkie inne atrakcje popołudniówki, nawet takie jak tasiecowana

ankieta z nagrodami pod zarwołaniem: „Król, czy prezydent?”, w której każdy czytelnik mógł się zadeklarować jako forma ustroju bardziej mu odpowiada. Nasz poczet, wy dozorca z Zielonej 48, pan Jakub, był zdecydowanym zwolennikiem monarchii, co też wyraził lapidarnie w swym exposé, ozdobionym fotografiami, przedstawiającą go z młotką, szepretowaną na baczność, zapewne w poczuciu szacunku dla monarszego majestatu:

— Ili tam prezydent! Król, to ja rozumiem, pan całą gębą, nie poskapiłby szpery jak insze lokatory...  
Były też konkursy z żywą krową jako główną premią i nagrodami pocieszenia w postaci iluś tam korców węgla, były codzienne, mrozące krew w żyłach sensacje kryminalne, ale prawdziwym magnesem od samego początku istnienia „Expressu” stały się

powieści w odcinkach. A że łódzianie zawsze lubili swe miasto, redaktorzy Oltaszewski i Polak postawili zasadni, czy warunek: powieść ma uwzględniać w jak najszerszym zakresie rodzimy folklor, najlepiej Bałuty, siedlisko świata podziemnego. Stąd też pierwsze kobylki odcinkowe „Expressu” nosiły frapujące i zlokalizowane tytuły: „Wampiry Bałut”, „W podziemiach Starego Miasta”, „Szczury Łodzi”.

Józef Rutczak był właśnie jednym z tych wampirów, a powieść, o ile mnie pamięć nie myli, zaczynała się okładaniem kochanki pięściami i takim dialogiem:

— Na róg! Na zarobek!  
— Nie pójdę!  
— Wygonię jak psa!  
— Nie pójdę, dośm mam tego parszywego życia!...

A Antos Kryspin? Jak się słusznie domyślać, Antos stanął w obronie maltretowanej Janki i dlatego właśnie nienawidził go sutener Rutczak.

Po jakimś czasie wydawcy doszli do wniosku, że jedna powieść w gazecie, nawet z tak emocjonującymi scenami, to za mało. Tym bardziej, że konkurencyjne „Echo” też zaczęło drukować literaturę w odcinkach. Rychło więc na łamach „Expressu” wprowadzono jeszcze jedną powieść, a później populudniówka codziennie

przynosiła trzy odcinki powieści, z czego jeden szedł na całą stronę. Obowiązywała przy tym zasada: dla każdego coś innego. A więc powieść, gdzie trup ścielił się gęsto, a krew ciurkiem płynęła ryszotkłem z ran zadanych nożami i od kul rewolwerowych, przeznaczona była dla najbardziej odpornego gatunku czytelnika, dla mężczyzny. Druga, pełna westchnień i zawodów miłosnych, owiana pajęczyną wspomnień, osnutych o zmierzchu w opustoszałych alejach parkowych — dla kobiet. A trzecia, ta na całą stronę, dla czytelników płci obojga, bo też splatały się w niej wszelkie namietności ludzkie — i miłość, i zbrodnia, i Bóg wie co jeszcze.

Z tych to całostroniowych powieści szczególnie jedna zaprowała mnie, a sądzę, że również i innych czytelników. Pewien łódzki inżynier był obojakiem, czyli hermafrodytą (ten, ta?) i eo jakiś czas zmienił nie tyle skórę, ile co innego. Ten dziwolak natury zakochał się na zabój... sam w sobie, nie wiedząc o tym, rzecz prosta. Po każdej kolejnej metamorfozie z kobiety na mężczyznę wzdychał do stojącego na nocnym stoliku swego zdjęcia, wyobrażającego go jako ognistą brunetkę o przepastnych, czarnych oczach. A gdy cechy męskie w nim zamierały, znowu sta-

wał się cichą, spokojną kobietą, drżącą ze strachu przed miłością swego prześladowcy, który listownie groził jej śmiercią za rzekomą zdradę. Proporcja była mniej więcej taka: miesiąc kobieta, miesiąc mężczyzna, a skończyło się wstrząsającą zbrodnią: zakochany w sobie obojnak zastawił na ukochaną śmiertelną pułapkę, sam wpadł w sidła i — zginął.

Później, gdy nakład „Expressu” począł się rozrastać, ogarniając cały kraj, gdy jak grzyby po deszczu powstawały nowe mutacje (było już tak, że znakowanie ich kolejnymi literami alfabetu okazało się niewystarczające, więc wydaniem dawano podwójne litery „AB”, „BC” itd.), zaszła konieczność zmiany miejsc akcji powieści odcinkowych. Z łódzkich podwór i ulic, z melin i pałaców fabrykanckich, przeniesiono je do różnych miast, przeważnie wojewódzkich (to, co się dzieje w dużym mieście, chętnie przeczyta każdy czytelnik z prowincji). Na arenę wkroczyły tytuły ogólne jak „Człowiek szuka sprawiedliwości”, a także historyczne jak „Rasputin i caryca”.

Pisał je prawdziwy mistrz: mój profesor historii w gimnazjum Wiśniewskiego, Mieczysław Jagoszewski, występujący pod pseudonimami: Andrzej Zański, Aleksy Orłow

i Mieczysław Sylwester, felietonista i poeta Bernard Fermaa, piszący jako Jerzy Bolski, oraz felietonista Ludwik Starski. Poczuł się Miecio nie zdradził tego gatunku twórczości i po wyzwoleniu, drukując w nowym „Expressie” nowe tasiecowe powieści, wyciskające łzy w oczach córek swych poprzednich czytelników. A że pozostał wierny wykładanej w szkole historii, więc poza utworami: „Wróć, gdy będzie ci źle”, czy „Podaj mi dłoń”, uraczył rzesze swych wielbicielów również historią o romansie Hitlera i panny Braun pt. „Adolf i Ewa”.

Gdy po wyzwoleniu powieści Miecia czytalem z obowiązkowo, jako sekretarz redakcji, wykreślając mu co pikantniejsze epizody, przed wojną, jeszcze jako uczeń, pochłaniałem je z wypiekami na twarzy od deski do deski. W domu nie pozwalano mi delectować się tą lekturą. O zgrozo, zabroniono mi nawet czytać powieści Starskiego. I nie pomogły moje protesty, że przecież Starski to mój rodony brat, a brat nie może piśać nic takiego, czego by jego brat nie mógł czytać. I sam nie wiem co bym zrobił, bo „Express” chowano przede mną skrzętnie, gdyby nie kochany Jędrzek Kołodziejczyk,

Dalszy ciąg na str. 8



## Deliberacje o wystawiennictwie

Jesień, diariusz — wystawy: „Sztuka użytkowa radzieckiej Estonii” w Muzeum Historii Włokiennictwa; „Współczesna grafika estońska ZSRR” w Muzeum Sztuki; „Malarstwo ze zbiorów dr Witolda Nowakowskiego”, „Malarstwo Wacława Kondka” i „Malarstwo Stanisława Brzezinskiego (1916—1967)”, w Salonie Sztuki Współczesnej; „Grupa 8 — malarstwo, grafika, rzeźba”, „Klub akwarelistów z Krakowa” i „Rzeźba Okręgu Łódzkiego ZPAP” w Ośrodku Propagandy Sztuki, „Debau” — malarstwo Jerzego Denistuka oraz „Malarstwo i rzeźba sieradzkiego twórcy ludowego Stanisława Korpy” w galeriach Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych; odbyła się również „III ple nerowa wystawa — plastycy balucy swojej dzielnicy” — pod arkadami na Starówce.

Czy były to wystawy, które we wrześniu i październiku wstrząsnęły artystyczną Łodzią?

Chcąc odpowiedzieć na tak postawione pytanie, winniśmy rozważyć i niejako zobjekttywizować sam mechanizm łódzkiego wystawiennictwa; ważne jest uzmysłowienie sobie nowych stosunków między artystą a publicznością. Trzeba tu wskazać przede wszystkim takie zjawiska, jak wystawiennictwo muzealne, wystawiennictwo Biura Wystaw Artystycznych, działającego na podstawie określonej wspólnoty interesów i solidarności Zarządu Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków oraz wystawiennictwo „spontaniczne”, które dąży do konfrontacji różnych realizacji, odrzuca balast przepisów, korzysta ze wszystkich systemów upowszechniania, aby twórca dotarł do odbiorcy.

Prawdą jest, że muzea w toku „walki frekwencyjnej” dopracowały się koncepcji wystawienniczej, dążąc do zjedyniania publiczności za wszelką cenę. Kierownictwo tych placówek kładzie poważny nacisk na konstruktywne opracowanie programu upowszechniania sztuki. Sukces łódzkich muzeów w strukturze wystawienniczej nie był bowiem jedynie wynikiem gry — ale wyczerpująco przeanalizowanej sytuacji w mieście — odpowiedzianą na zapotrzebowanie środowiska robotniczego i inteligencji oraz młodzieży.

W daleko mniejszym stopniu zajmowano się natomiast zagadnieniem odbiorcy w działalności wystawienniczej Biura Wystaw Artystycznych. Z tego też względu wydaje się celowe wywoływać dyskusję; skoncentrować uwagę na tej właśnie tematyce — podjąć próbę wyjaśnienia mechanizmu działania subiektywnych źródeł ekspansji wystaw powtórkowych, przeciagające się zmiany wystaw letnich, brak wystaw laboratoryjnych, awangardowych, konfrontujących różne idee i realizacje itd. Dysponując licznymi i wartościowymi przykładami z innych województw, chcę rozpatrzyć zagadnienie w planie przesłanek subiektywnych, agitując na rzecz reform w obrębie łódzkiego wystawiennictwa plastyki nowoczesnej.

Niedawno odnotowałem kontrowersyjne zdanie, że „Zarząd Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków poddana sobie sztuką nie interesuje się wcale, albo też upowszechnia ją w celach prestiżowych”. Natychmiast pomyślałem: czy też ZPAP — tak jak w Warszawie, Krakowie, Poznaniu — posiada własną galerię do realizowania „jakiegoś” własnego programu artystycznego? — Nie ma! I czy to takie ważne?

Łatwo spostrzec, że w owych natarczywych pytaniach o aktualność wystawiennictwa, jak również w okazjonalnych wyznaniach odbiorców chodziło o coś znacznie głębszego. Tkwi w nich — sądzę — ukryty postulat nagłego wypracowania nowego stosunku do placówki kulturalno-oświatowej Biura Wystaw Artystycznych, podległej Wydziałowi Kultury PRN m. Łodzi. Bowiem chodzi o dokonanie świeżej, dalekiej od manery i uroszczeń poprzednich lat interpretacji dorobku na odcinku upowszechniania sztuki plastycznych, łódzkiego Okręgu ZPAP. Określenie i uławnienie tych walorów, które są nie tylko żywe, lecz i twórcze, a wprowadzone w krwioobiegi życia społecznego i plastycznego liczyć mogą nadal na właściwy i szeroki rezonans.



St. Fijałkowski — linoryt

Jest rzeczą charakterystyczną, że we wszystkich przedsięwzięciach Biura Wystaw Artystycznych, na przykład w rocznicowych wystawach, na plan pierwszy wysuwało się niebagatelne i natrętnie powtarzane pytanie o inicjatora, o to w jakim stopniu BWA partycypuje w powyższych imprezach. Rozbieżność opinii (jak zwykle w takich wypadkach) i tym razem była ogromna. Obok głosów wskazujących na zmniejszanie się roli BWA, archaiczność środków propagandy (np. zaniedbanie reklamy ważkiej wystawy rzeźby Okręgu), wyrażano opinie, że nie sposób jest tutaj odnaleźć coś, co współgra z programowością i pobudza odbiorcę do myślenia. Jednocześnie (tu tkwi paradoks) spotykało się wypowiedzi pełne aprobaty i zachwytu, równoważone rzeczową analizą działalności — tym razem — Zarządu Okręgu

Polskich Artystów Plastyków. Dlaczego? Przecież wspólne firmowane są wszystkie niemal zaproszenia na otwarcie wystaw w Łodzi...

Wiadomo, nieprecyzyjne interpretacje — byłe głoszone z uporem — mają nieraz twarde żywoty i zamaści ulatwie, utrudniają jedynie rozstrzygnięcie problemu, a ich anachronizm — byłe konsekwentny — potrafi nawet skutecznie deprecjonować wartość do robku różnych skromnych inicjatyw grup plastycznych, wystaw poza salonami BWA itd. (przynajmniej przez jakiś czas). Toteż w tym sensie — choć nie tylko — dzisiaj zatwierdzanie przez Wydział Kultury planu wystawiennictwa wspólczesnej plastyki, da leko odbiegło od grzecznościowych holdów dla organizatorów wystaw i martwych deklaracji.

Obecnie kolej na to, by zareagowało Biuro Wystaw Artystycznych i upomniało się o przywrócenie mu należytego miejsca w hierarchii placówek kulturalnych miasta, jak i we współczesnym wystawiennictwie w kraju!

BWA próbują narzucić różne instytucje k.o. swoje pomysły — BWA skwapliwie, bez selekcji włącza do swojego portfela po szczególne imprezy — byłe w. e. e. j.; wychodzi z nimi na miasto — i to zawsze z pełną listą długów wobec inicjatorów; nikt mnie nie przekona, że jest to, w wyniku gospodarskiego rachunku, reprezentatywny plan wystawienniczy upowszechniania plastyki organizatora, BWA.

Związki i Stowarzyszenia twórcze winny troszczyć się o indywidualnego członka i walczyć o jego prawa autorskie, o cenniki, o stypendia twórcze, o nagrody, o zakupy dzieł, o sprawy bytowe; trzymają ster ideologiczny wszystkich zrzeszonych. Upowszechnianiem ich twórczości zajmują się instytucje do tego powołane z etatami specjalistów (muszą to być specjaliści) i zgola inaczej będą rozwiązywać problemy wychowania przez sztukę społeczeństwa; zaś ruchu badawczo-krytycznego wokół takiego programu bynajmniej nie zamknie ani nie wywieszy żaden „Zarząd Związku”.

Naszemu BWA brak działalności autonomicznej, nie upowszechnia ono plastyki w dług konstruktywnego planu przez monumentalne „P”. Dlaczego? Może brakuje tam etatów specjalistów, może środków finansowych, może odwagi, może koncepcji, może...? BWA bieżąco wszystkich chce ugłaskać i zadowolić — można i tak, można oczywiście dyskutować za każdym razem nową wystawę, porównywać i oceniać ją — ale z jakich pozycji?

Są u nas „wyrzeczni”, są u nas „święte krowy”, powstała pewnego rodzaju monopolizacja werdyktów — nie ma dyskusji, niepopularnie jest się „wychylać”, lepiej jawnie poklepywać i biadolić w skrytości ducha. Dlaczego? Stąd też dretwoła polemik, recenzji plastycznych, aktywni jako krytycy profesorowie Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi dziś starannie ukryli się w dziupłowych pracowniach Szkoły. Jedynie garstka „Konkret” z PWSSP próbowała rozruszać — tak czy siak — środowisko.

Znowu inna grupa artystów „bałuckich poddaszy” ofiarowała swojej dzielnicy trzy wystawy plenerowe. Podobno pomawiani są o komercyjny ciągoty — ale niech owi monopolisci werdyktów odwiedzą wreszcie te „salony otwarte” pod arkadami Starówki — przedko przekonają się co to znaczy prawdziwy zew...

Oczywiście BWA może swoje sale wystawowe wypożyczać instytucjom k.o., czy jednak wszystkie imprezy powinno firmować? Czy są tego warte?

Mówimy o integracji wtenczas, kiedy współpracujące środowiska twórcze — bez nacisku i kokieterii — jakąś akcją artystyczną przygotowują; integracja sztuk nie polega na mechanicznym sygnowaniu na jednym zaproszeniu kogo się da, zainteresowanych i niezainteresowanych organizatorów przy okazji pojedynczej imprezy. To jest podwójna gra, chwytanie się nielojalnych metod w dążeniu do zdezawuowania oponentów, krytyki artystycznej, publiczności — za jaką cenę?

## Nauczyciele

Dokończenie ze str. 3

zwyknie. Stąd nauczyciel jest tym, który pracuje i bę dzie pracował bo taka już jego natura. Wymagać nie bę dzie dużo. Przyjdą wybory, akcje wyborczą prowadzić oczywiście będą w pierwszym rzędzie pedagogzy, wkrótce spis rolny — zapewne i tu nauczycieli nie zabraknie. I tak od lat, może nawet wieków.

Nie chodzi to o gloryfikację nauczycielskiej profesji, lecz jedynie o obronę człowieka, który jest pracownikiem twórczym, jako że działalnością swoją kształtuje przyszłe pokolenia. Gdyby na tym miejscu przytoczyło się fragmenty książki „O szkole” wolskiego wójta, zapewne w wielu wypadkach nie straciłyby one na swej aktualności. Nauczycielstwo — to szczególny zawód, określony nie tylko lekcyjnymi godzinami. I po powrocie ze szkoły nauczyciel myśli o niej, rozważa swoje postępowanie, analizuje postawy uczniów, ciągle siebie koryguje, dokształca się. Wierzy, pomimo różnych trudności i przeszkód, że praca jego nie pójdzie na marne, że w końcu, jeżeli nie teraz, to później znajdzie zrozumienie, bę dzie doceniony. Wierzy przede wszystkim w lepszą przyszłość, w to, że pokolenia przez niego wychowane i wykształcone, będą ludźmi wartościowymi.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

## Dalszy ciąg nastąpi...

Dokończenie ze str. 7

odnajmujący wraz z matką, bratem i siostrą jeden z pięciu pokoi naszego mieszkania na Zielonej. Co wieczór zwałabiał mnie do siebie pod pretekstem puszczania „kina” na ścianę, a kinem tym była tekturowa skrzynka ze stojącą wewnątrz lampą naftową, z otworem z przodu i obiektywem, którym na przemian manipulowałam przed skrzynką, w drugiej ręce trzymając kawałek taśmy z jakiegoś filmu. To były nadprogramy, mające na celu uspienie czujności mojej rodziny. Właściwa frajda dla mnie następowała dopiero potem, przy lek turze zakazanego owocu. Nie odrywałem się od gazety, póki nie dobrałem do trzech literek na dole — d.c.n. — dalszy ciąg nastąpi. Kładąc się do łóżka, próbowałem wy koncepcować jak się potoczy akcja nazajutrz, a medytacje te nie były takie proste, zwa-

żywszy, iż musiałem myśleć trójkierunkowo.

Zakaz czytania „Expressu” obowiązywał mnie do 1931 roku, ale tylko do sierpnia, we wrześniu bowiem zacząłem pracować jako reporter w agencji prasowej, aby po kilku tygodniach przenieść się do „Expressu”. Tak więc życie brutalnie uchyliło szuszną skądinąd zakaz rodziny. Teraz mogłem nie tylko czytać powieści na bieżąco, ale i na kilka dni naprzód (aby zaspokoić swą ciekawość, wy ciągałem oddane do składu teksty i pochylony nad kasztami oddawałem się lekturze). Mało tego — byłem naczynym świadkiem ich powstawania!

Najbardziej imponował mi Bolski. Do redakcji przychodził punktualnie o dziewiątej rano, siadał do swego „Remingtona” portable, który co dzieńnie nosił z redakcji do domu na Żeromskiego i z powrotem, wkręcał papier i wy stukiwał nową porcję powieści. Nie mu nie przeszkadzało. Ani siedzący vis a vis nie-

go hałaśliwy Bolek Rawicz, telefonujący bez przerwy do różnych instytucji po materiał do kroniki miejskiej, ani nasze wizyty w pokoju. Benek na nikogo nie zwracał uwagi, wydaje mi się, że nawet trąba powietrzna nie przewalałaby mu pracy. Dopiero, gdy postawił owe d.c.n., wypijał szklankę herbaty, znowu wkręcał papier do niezmiernie wanego „Remingtona” i... pło dził felieton (miał stałą rubrykę w „Expressie” — Moje miniatyry). Dzień pracy kończył codzienną dawką dowcipów na ostatnią stronę i jakimś kawałkiem do środka numeru. Tłumaczenia dla „Republiki”, wiersze i piosenki pisał już w domu.

Jagosz... w ogóle nie pisał. Przed wojną, ani po wojnie, palce jego nie splamiły się dotknięciem klawisza maszyny. A że miał też wrodzony wstręt do trzymania pióra w rękę i zawsze bazgrał jak kura pazurami, pozostawało tylko dyktowanie. Robił to, w odróżnieniu od Bolskiego, w najbliższej konspiracji. Zaangażował na swój koszt maszynistkę, która aż do wybuchu wojny pozostawała tylko do jego dyspozycji. I u niej to w mieszkaniu na ul. Andrzeja powstawały owe słynne powieści Miecicia, w których rozczytywał się cały kraj. Spokojny, grzeczny i zawsze opanowany, był Jagosz rozstrągnięty, jak zawsze zresztą profe-

sor. Zdarzało się tedy, że schowany do jednej z przepastnych kieszeni maszynopisu dematerializował się i Miecicio musiał dyktować od początku to samo, a znośił to, przyznać trzeba, ze stoickim spokojem. Zarabiał chyba niewiele w redakcji, ale ile ma pieniędzy — nigdy nie wiedział. Zresztą nie tylko tego. Po wywołaniu dostał parterowe mieszkanie na Kilińskiego, ponurą dawną „stróżówkę”, gdzie spędził szereg długich lat. Zyczliwi koledzy redakcyjni postarali się dla niego o nowe większe lokum, używając m. in. argumentu, że jeden pokój to za mało dla takiego tytana pracy. A gdy na Kilińskiego przybyli tragarze, żeby przeprowadzić ruchomy dobytek Jagosza do nowego mieszkania, okazało się, że w tym starym był nie jeden, lecz dwa pokoje. O drugie, zasłoniętym wielkągną ponieliecką szafą, Miecicio też nie wiedział...

Brat mój Lutek pracował w wydawnictwie „Republika” od samego początku, od 1923 roku, kiedy to biegłemu Jeszcze pod stołem. Przedtem jako uczeń redagował w domu, odbijaną na hektografie, liliową, pachnącą denaturatem, gazetkę. On i Bolski, jego kolega szkolny, zamieszczali tam swoje sentymentalno-nastrojowe wiersze. W „Expressie” Lutek był sekretarzem redakcji. Pisał dowcipne wiersze i felietony, sygnując je „Sple-

en”, wtedy była moda na brzmiące z cudzoziemską pseu donimy. Gdy zaczął tworzyć powieści, zmienił imię, do dziś nie wiem dlaczego. z Lud wika na Julian. I tak było przez szereg lat: Julian Starski. Maszyny do pisania z początku nie uznawał, przeko nał się do niej dopiero później. Przeważnie pisał w domu, posługując się wiecznym piórem (pamiętam jego „Mont-Blanc” z białą gwiazd ką na nakrętkę; atrament wpuszczało się pipetką, gdy stalówka była schowana, a przed przystąpieniem do pisania wykręcało się ją na gwincie). Po zapisane równym, czytelnym charakterem pisma kartki na Zieloną przychodził koniec redakcyjny.

Do tej wielkiej trójki — Jagosz, Bolski i brat — próbował doszłusować inni, ale odpadali w przedbiegach. O napisanie powieści dla „Expressu” pokusił się między innymi Bernard Bruzda, ceniony, wzięty adwokat łódzki, mały pracownicy administracyjnej „Republiki”, szkolny kolega Polaka. Jaka była treść jego powieści nie pamiętam, ale jednej sceny nie zatarł czas, chyba ze względu na nieoczekiwany epilog. Mecenasa Bruzda, działając na wyraźne polecenie szefów, rozbudował akcję miłosną, której głównym bohaterem był zbankrutowany „łódzermensch”. Chcąc się pocieszyć po niepowodzeniach material

nych, zaprosił on do swego mieszkania znajomą, zubożałą arystokratkę, posadził ją na wysłużonej kanapie i nie puszczał stamtąd przez trzy odcinki, zasypując ją różnymi mądrymi pytaniami i zmuszając do odpowiedzi. Pierwszy odeinek redaktor Polak jakoś przelknął, przy drugim grymas wykrzywił mu twarz, a przy czytaniu trzeciego, gdy niestrudzony bohater dalej wiodł dialog ze swą bogdaną, redaktor chwycił się za serce i wezwał mecenasa do siebie.

— Słuchaj, Bernard — powiedział, oddychając z trudem. — Albo ten facet ją wreszcie referuje, albo zgoh ich z tej kanapy!

Powieść odcinkowa była soła w oku pozostałych pracowników redakcji. Codziennie trzy odcinki — to dwie bite strony. Do tego dwie strony ogłoszeń, na pierwszej i drugiej depesze, sport, repertuar kin i teatrów — a co na inne rzeczy? I te stawki! To nie to co nędzna wierszówka za sprawozdania sądowe czy kryminalne relacje, nawet takie, go kalibru jak afera w Motopolu Tytoniowym na Kopernika, gdzie żona naczelnego dyrektora systematycznie wynosiła co przedniejsze gatunki tytoniu, upychając ten melanz pod pieluchami synka, którego codziennie przywoziła wózkami do stęsknionego tatusia.



Wanda Karczewska zadebiutowała jeszcze w latach trzydziestych, wiążąc się od razu w jeden z najbardziej ambitnych nurtów polskiej literatury kontynuując wielką moralistykę Conrada. W najnowszym zbiorze jej opowiadań ("już" w logicznym, nie chronologicznym oczywiście znaczeniu) społeczne uwarunkowanie psychiki występujących osób. Wina bohatera leżała jednak nie w dążeńiu do społecznego awansu, lecz w sprowadzeniu tego dążenia do wymiarów egoistycznego pragnienia w godnego życia. Poniższy w życiu

stosunki międzyludzkie stanowią tło heroicznego zmagania z własnym sumieniem kapitana statku w opowiadaniu tytułowym, choć uwzględnione tu już zostało („już” w logicznym, nie chronologicznym oczywiście znaczeniu) społeczne uwarunkowanie psychiki występujących osób. Wina bohatera leżała jednak nie w dążeńiu do społecznego awansu, lecz w sprowadzeniu tego dążenia do wymiarów egoistycznego pragnienia w godnego życia. Poniższy w życiu

BOGDAN ROGATKO

## Spod znaku Conrada

W świecie stworzonym przez pisarkę najistotniejszym czynem w życiu człowieka jest przekroczenie linii od dzielącej ciemność od światła. Światło stanowi przeważnie symbol wiedzy, poznania — Karczewska zachowuje znaczenie tego symbolu. Czoło wiek dotąd grzebie w ciemności, uważa ona, dokąd prowadzi życie wśród spraw na miarę samotnej, wyizolowanej jednostki i zmistyfikowanych problemów dogadujących jego egoistycznej naturze. Tylko świadomość swego uczestnictwa w życiu innych ludzi może uchronić nas od zupełnej ślepoty moralnej. Czy jednak wystarczą sama świadomość?

W kameralnym kregu rozgrywa się w „Mufionach” dramat trojga ludzi. Jest to miniatura psychologicz-

klęskę, zrozumiał, że sam jest za nią odpowiedzialny. Problem „winy pozornie niezawinionej” rozwiązała więc tu autorka w sposób jednoznaczny: wystarczy zrozumieć swoją winę — sugeruje ona — by zostać z niej oczyszczonym.

Pozornie tylko jednoznaczne rozwiązanie problemu wyobcowania znajdujemy natomiast w najnowszym opowiadaniu, stanowiącym obraz konfliktu pokoleń, w „Odkryciu”. Bohaterka tego utworu — przedstawicielka starszego pokolenia — wbrew swej woli wciągnięta w wir wydarzeń politycznych (zaplątała się w szeregi demonstrujących na ulicach jednego z miast francuskich studentów i robotników) doznała nagłego oświecenia — poznała tajemnicę życia, która okazuje się poczucie wspólnoty z innymi ludźmi, pozwalające na litość w stosunku do wszystkich i wszystkich. Ta francuska postać wa przeciwstawiona została, w ironiczny cudzoziemski ujęty, manifestacji nihilizmu młodego pokolenia, którego ideologia drwin jest — zdaniem autorki — tylko wygodnym aserantwem. W gruncie rzeczy jednak ta nihilistyczna świadomość niewiele różni się od „głęboko współczującej” świadomości bohaterki. Konkretny wypadek polityczny, kształtujący oblicze naszej rzeczywistości rozegrały się bowiem poza tą świadomością i niezależnie od niej. Na iluzji zatem opiera się zarówno optymizm starszej, wyobrażającej sobie, że jest jedną z tych, którzy dźwigają ciężar

odpowiedzialności za świat, jak i programowy pesymizm jej córki, odcinającej się zdecydowanie od wszelkiego udziału w tym świecie.

Jeszcze bardziej skomplikowana, a jednocześnie bliższa naszej polskiej rzeczywistości jest wymowa ideowa „Faru góła”. Główny bohater opowiadania to jeden z tych, którzy podczas ostatniej wojny przelewali krew za Polskę daleko poza jej granicami i którym nie danym było wziąć osobistego udziału w wywołaniu i odnowieniu kraju. W gruncie rzeczy nie mieli do niego już po co wracać, konkretna rzeczywistość bowiem wymagała konkretnych czynów. Ludzi pokroju głównego bohatera nie było na to stać — czyn nie heroiczny stawał się w ich pojęciu trywialny, a jeżeli trywialny — to znaczy sprowadzony wyłącznie do wymiarów egoistycznych, „materialnych” potrzeb. W czasach współczesnych — uważali — by żyć, trzeba być konformistą, czyli zaprzeczać sobie. Charakterystyczne jednak, że woleli zaprzeczać sobie w imię swych jednostkowych interesów, niż w imię jakichś spraw ponadindywidualnych.

Dramat losu człowieka rozgrywa Karczewska w obrębie jednostkowej świadomości — nieprzypadkowo więc dominująca forma we wszystkich utworach jest monolog wewnętrzny. Świat, z którym się stykamy bowiem — uważa ona — musi zostać zasymilowany przez naszą psychikę. Pytanie jednak, w jakim stopniu świadomość jest odbiciem naszych czynów konkretnych, w jakim natomiast tylko marzeniem o czynie, lub odbiciem czynów nie naszych. Świadomość człowieka poznającego życie, ale je nie tworzącego — jest z punktu widzenia rozwoju ludzkości świadomością bezużyteczną, prowadząca nieuchronnie do poczucia wyobcowania. Taką jest właśnie świadomość bohaterów Karczewskiej — typowa świadomość inteligentka.

Tworczość autorki „Linii światła” stanowi krytykę podobnej postawy wobec świata — krytykę pozornego „zaangażowania”, cechującego ludzi, którzy nie biorą bezpośredniego udziału w kształtowaniu rzeczywistości. Karczewska daleka jest od werbalnej deklaracyjności, nie używa

dwóch wcześniejszych utworach z omawianego tomu stanowisko samej autorki było jeszcze mocno niezdecydowane. Zakończenie ich jest optymistyczne, gdyż bohaterowie odnajdują poszukiwaną prawdę. Czy jednak istotnie samo poznanie prawdy mogło zmienić ich życie? Sugestie zawarte w tekście opowiadań idą w kierunku potwierdzenia tego mniemania. Dopiero odczytanie ich z perspektywy późniejszej twórczości Karczewskiej pozwala na inne już spoj-



rze: ucieczka kapitana ze statku, na którym samotnie przeżywał swój dramat może symbolizować ucieczkę od bezproduktywnej refleksji o sobie samym do czynnego życia wśród innych ludzi. „Optymistyczne” zakończenie „Mufionów” nabiera natomiast dwuznacznego sensu: w zapasach miłosnych o mężczyźnie zwyciężyła, co prawda, bohaterka, odrzucając poza obrys swej świadomości myśl o istnieniu konkurentki. Kto wie jednak, czy ów mężczyzna nie wybierze w końcu młodej dziewczyny spontanicznie, po zwierzęcemu traktującej życie...

Nowo wydany tom opowiadań Karczewskiej jest zatem świadectwem, że w twórczości swej zmierza ona konsekwentnie do zdecydowania krytycznego stosunku wobec problemu tzw. świadomości inteligentki. W dawniejszych utworach problem ten dopiero zaczynał kiełkować. Później stał się motywem przewodnim jej utworów. Towarzyszy temu bardzo istotne przesunięcie akcentów: od abstrakcyjnego psychologizmu ku przedstawianiu konkretnej, uwarunkowanej historycznie i politycznie rzeczywistości. Twórczość wybitnej pisarki jest poza tym programowo polemiczna w stosunku do modelu młodej prozy. Polemika toczy Karczewska zarówno w sferze dokonań artystycznych (nadając inną funkcję popularnemu wśród młodej prozy monologowi wewnętrznemu) jak i zamierzeń ideowych — krytyka świadomości inteligentki jest jednocześnie atakiem na postawę światopoglądową młodego pokolenia, eksponowaną natrętnie w literaturze. Najdobitniejszy wyraz znalazło to w „Odkryciu”, które stało się dowodem na słuszną tezę, że istotny konflikt ma miejsce nie w walce pokoleń, lecz walce ludzi o różnych światopoglądach.

\*) Wanda Karczewska. Linia światła. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970.

## POLONICA

GOMBROWICZ  
W BELGRADZIE

W 2 numerze (z lipca — sierpnia br.) dwumiesięcznika teatralnego „Pozorište” (Teatr), wychodzącego w Tuzli (Bośnia i Hercegowina), ukazała się recenzja Any Zivković z czterech przedstawień belgradzkiego teatru „Atelje 212”. Recenzja nosi tytuł „W pragnieniu za demistyfikacją świata” i zawiera m. in. omówienie spektaklu Gombrowiczowskiej „Operetki” (Jugosłowiańska prapremiera). Prezentując obszernie strukturę dramatu, autorka silnie akcentuje związki problemowe utworu z teatrem Witkacego, szczególnie z jego tematem rewolucji, obsesyjnie, jak wiadomo, występującym od pierwszych sztuk, dostrzegając różnicę między prototypem bohaterów. Niestety, sprawy te tak dalece zajęły autorkę, iż nie zwróciła uwagi na realizację Bogdana Jerkovića, zagrebskiego reżysera. Dowiadujemy się jedynie, że „w inscenizacji „Operetki” zauważyliśmy wpływ witkacowskiej teorii nieograniczoności (.) Reżyser potraktował sztukę farsowo. To widzenie farsowe jest bliskie naszemu współczesnemu teatrowi (.) To jest nowy teatr. Teatr zabawy. Pojawił się, by zastąpić teatr okrucieństwa. Ten zaś, eliminuje teatr absurdu”.

sk

UTWÓR  
A. MULARCZYKA  
W WIEDNIU

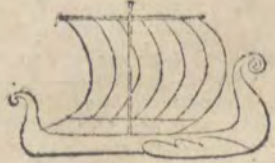
Przy Związku Polaków w Austrii „Strzecha” działa od dłuższego czasu Teatr Propozycji. Z początkiem listopada 1970 Amatorski Zespół wykonał adaptację sceniczną „Moja prywatna sprawa” A. Mularczycy w reżyserii i inscenizacji Wł. Wilkosa.

(er)

## POLONICA

na, której granic nie zamyka jednak subtelnie zarysowana charakterystyka bohaterów. Właścicielce pensjonatu, w którym wynajęła pokój narratorka, udaje się przezwyteż wyjąławiające psychicznie uczucie samotności dzięki miłości drugiego człowieka. Zewnętrzne wydarzenie (romans z Piotrem) jest tu tylko w gruncie rzeczy punktem wyjścia dla jej duchowego przeobrażenia.

Podobnie w zasadzie kameralne



też tzw. mocnych środków wyrazowych. Krytyki dokonuje w sposób subtelny, wymagający od czytelnika intelektualnego wysiłku. Zresztą w

I któregoś dnia dziennikarze zbuntowali się. Przyszli w delegacji do redaktora Polaka, a najśmielszy powiedział:

— Jągosz, Bolski i Starski zarabiają. A my? Ceny skaczą, wszystko drożeje, trudno związać koniec z końcem...

Redaktor Polak miał dobre serce. Pomyślał chwilę i rzekł:

— Dobrze. Puścimy jedną powieść zbiorową. Codziennie ktoś inny będzie pisał odcinek.

Nie było to wiele, ale i malkontentów nie było dużo. Raptem sześć, siedem osób. Pozostali nie mieli odwagi wejść do jaskini lwa i za karę zostali przez kolegów wyeliminowani z grona autorów kolektywnej powieści.

Narada twórcza, jakbyśmy to dziś nazwali kolegium, odbyła się w mieszkaniu tego najśmielszego. Po debacie stało na tym, że powieść będzie aktualna, w jej watek wplątane zostaną wszelkie ciekawsze wydarzenia łódzkie. Jeżeli na przykład prasa codzienna przyniesie wiadomość o jakiejś większej afarze kupieckiej, fakt ten znajdzie odbicie już w najbliższym odcinku. Nazwiska bohaterów z życia przemierzają się z nazwiskami bohaterów powieści, czytelnik odniesie wrażenie, że to autentyczna epopeja z dziejów Łodzi.

Grono nowo upieczonych autorów zabrało się energicz-

nie do pracy. Zgodnie z umową codziennie ktoś inny pisał kolejny odcinek, a zgłoszony już w trakcie warsztatowej roboty przez jednego z współautorów dezyderat, aby miał on prawo do większej ilości odcinków ze względu na licznější rodzinę — odrzucono kategorycznie: jak równość, to równość.

Któregoś dnia kolejny autor wyprowadził na salaną wiosennym słońcem Aleję Kościuski osobnika, spełniającego w powieści rolę „szwarzcharakteru”. Przechodząc ulicą ów ciemny osobnik witał się ze znajomymi, ubijał z nimi ciemne interesy, aby w końcu odcinka wejść do „Grand-Cafe”, gdzie przy pół czarnej spotkał się z podobnym jak on ciemnym typem. Ledwo „Express” z tym odcinkiem ukazał się na świecie, rozdzwoniły się telefony, a część czytelników przypuściła szturm do pomieszczeń redakcyjnych.

— Panowie, co się dzieje? Jak ten facet mógł chodzić po ulicy, jak mógł siedzieć w kawiarni, kiedy w poprzednim „Expressie” zaprawili go na amen w melinie?!

No tak! Współautor, który napisał swój odcinek z wtorku na środę, nie przeczytał poprzedniego odcinka, napisanego przez kolegę z poniedziałku na wtorek i doraźnie ożywił trupa!

Sytuacja była poważna, ale nie beznadziejna. Plenum

twórców po ożywionej dyskusji, w której uczestniczyli wszyscy trzej szefowie, doszło do następującej konkluzji: wprawdzie bohater został za kluty nożem, ale była to śmierć pozorną; po wpływie krwi zapadł w letarg, z którego obudził się po paru godzinach dzięki nadludzkim wysiłkom lekarzy i po transfuzji wrócił o tyle do siły, że mógł iść do „Grand-Cafe” po krzepić się kawą.

I tak spreparowany odcinek poszedł do najbliższego numeru „Expressu”. Czytelnicy odetchnęli z satysfakcją: burza została zażegnana, ale już nigdy więcej „Express” nie drukował zespołowej powieści. Zresztą nie było czasu na eksperymenty. Walka konkurencyjna rozgorzała w pełni. To już nie było zmaganie się z lokalnym „Echem”. Popołudniówki w całym kraju za wszelką cenę chciały wygrzyć „Express” ze swego terenu, trzeba było trzymać rękę na pulsie i bronić się wszelkimi sposobami. I tutaj w całej okazałości błysnął geniusz wydawniczy redaktora Polaka. Gdy krakowska popołudniówka „Tempo Dnia” spod znaku Ikca zapowiedziała druk sensacyjnej powieści na swych łamach, w „Expressie” poleciało na ówczesną stronę bezpłatne ogłoszenie, reklamujące ową powieść i uprzejmie informujące przy tym, że powieść ta wydana została w książce

i wszędzie jest do nabycia. Czytelnicy tłumnie pospieszyli do księgarni i atrakcją „Tempa” spaliła na panewce.

Ja też miałem swój skromny udział w pisaniu powieści odcinkowych. Ale to było późno i zdarzało się tylko od czasu do czasu, gdy Bolski lub Jągosz wyjeżdżali na urlop. Brat mój już nie pracował w wydawnictwie. Przenosił się do Warszawy i tam błysnął talentem jako autor scenariuszy filmowych i tekstów dla „Qui Pro Quo”, „Morskiego Oka” i innych teatrów rewiiowych.

A więc, gdy nie stało w redakcji Bolskiego czy Jągosza, wzywał mnie redaktor Polak do siebie i mówił:

— Panie, będzie pan pisał streszczenia. Pół złotego sztuka.

Streszczenie dawano przy każdej powieści, wciągał bowiem przybywali nowi czytelnicy. Pierwsze dwa, trzy zdania były nieruchome, zawierały krótką kwintesencję tego, co się zdarzyło na początku, a pod to wklejałem kilka ostatnich akapitów z poprzedniego odcinka, ażeby przejście ze streszczenia do właściwego tekstu powieści było jak najbardziej „żywe”.

Powieści w „Expressie” były ilustrowane, co jeszcze bardziej podnosiło ich atrakcyjność. Ryciny robił przeważnie Wacław Drozdowski, autor co tygodniowych, całonocnych rysunków politycznych

w „Republice” (z własnymi wierszykami), późniejszy twórca serii rysunkowej „Wiek i Wacek”. Wacek (Drozdowski) był precyzyjny. Jego rysunki odznaczały się niebywałą, wprost fotograficzną dokładnością, ale coś z tego, gdy przynosił je na ostatnią chwilę, a nieraz już po skalandrowanu stronicy? Poza tym jak każdy artysta miał swoje kąprisy. Kiedyś poproszono go o narysowanie małpy, odgrywiającej w powieści dość istotną rolę. Wacek odmówił, twierdząc, że ani on, ani nikt inny nie potrafi prawidłowo na rysowanie małpy, a zresztą małpa nie jest do rysowania, lecz do oglądania i nie będzie się ośmieszała w gazecie.

Dział literatury reprezentowały w „Expressie” również codzienne nowelki, zamieszczane na dole ostatniej stronicy. Monopol na nie miał Adolf Feferman, kuzyn Benka, zwanym przez szefa „Białym” z racji swej plówy jak dojrzala pszenica czupryny. Dolek, tak nazwaaliśmy go na co dzień, był redaktorem wydań mutacyjnych, łamał wszystkie wiadomości regionalne, roboty więc miał co nie miara — kolumny mutacyjne jedna za drugą schodziły ze stolów metraprzy — a przecież znajdował wolny czas na nowelki. Wy myślał je przeważnie w drodze z domu do redakcji i bez żadnych notatek dyktował wprost na maszynę stenotypistce Zlinie Mandels lub Bez-

brodzie, pełniącemu w redakcji również dwie funkcje: stenografa (doskonalego!) i maszynisty (fantastycznego!).

Nowelki Dolka miały niewątpliwie wartości poznawcze. Akcja ich rozgrywała się w dalekich, egzotycznych krajach, czytelnicy mogli się dowiedzieć, że stolica wysp Fidżi jest miasto Suva na Vitilevu, że w świątyni w Bonampak znajdują się piękny fresk, że na Jamajce panuje klimat umiarkowany, ciepły. Wiadomości te Biały czerpał z Brockhousa czy innej encyklopedii, jak ja teraz. Z geografii był raczej słaby, czego zresztą nie ukrywał: raz nawet, gdy pojechał w teren, za miast w Równem wyładował w Kielecach.

Byłem stałym czytelnikiem i tych codziennych nowelek „Expressu”. Ale kudy im do powieści! To już nie była ta klasa. Nigdy żadnej nie pamiętałem dłużej niż kilka dni, gdy całe fragmenty odcinkowych powieści nie uleciały z mojej pamięci nawet dzisiaj, po czterdziestu latach. A może dlatego, że pod nowelkami nie było owych trzech, pełnych tajemnicy, wycekiwania i do myślowi literacki — d. c. n. — dalszy ciąg nastąpi?!

ADAM OCHOCKI

Z przygotowywanego do druku tomu wspomnień o REPORTER PRZED KONFESJONALEM, czyli jak przed wojną robiło się w Łódzkiej gazecie.



KŁOPOTY Z ZAGINIONĄ DZIEWCZYNĄ

Na ostatniej półce mojej biblioteki leży pokaźny stos książek, które trzymam z czystego sentymentu. To książki z okresu mojego pierwszego samodzielnego czytania, a także z okresu późniejszego, kiedy nagle załamano już do czytelników literatury młodzieżowej. Wśród tych pierwszych znajduje się książeczka Jana Brzechwy pt. „Depesza”. Pomyśl jest prosić ci. Do Leszka Kuleszy listonosz przynosi depeszę, w której ciotka Leszka za prosi go do Kuluszek na racuszki. Adresata akurat w domu nie było, wyjechał do innego miasta, więc depesza wędruje za nim. Tam okazuje się, że wiercipięta Kulesza dopiero wyszedł i depesza musi gońić go dalej. Kulesza jeszcze kilkakrotnie zmienia adres, wreszcie, kiedy objechał przynajmniej pół Polski, któreś tam z kolei listonoszowi udaje się doręczyć mu depeszę. I co? Ano łasuch — Leszek Kulesza zdążył na czas na jeszcze świe-

żutkie racuszki do ciotki w Kuluszkach. Ale widać wtedy i poczta sprawnej działała i pociski jeździły tak szybko, że nam pozostaje tylko powzdychać.

To przydługie nieco streszczenie uroczego wiersza Jana Brzechwy ma swoje uzasadnienie. „Depesza” przypomina mi się gdzieś w połowie lektury książki Ludwika Swieżawskiego pt. „Zaginiona dziewczyna”. Ponieważ jednak książka Swieżawskiego przeznaczona jest dla młodzieży, przeto i poszukiwania mają nieco poważniejszy charakter. Oto ojciec i sędmiu chłopców, których wiek trudno mi trochę określić, oraz kilka postaci drugoplanowych poszukują kilkunastoletniej dziewczynki — Jani Makowskiej, wywiezionej podczas wojny do Niemiec. I tak, jak to było w „Depeszy” trop urywał się w tym momencie, do którego chłopcy przyjeżdżali. W końcu okazało się, że długotrwałe poszukiwania po całym Dolnym Śląsku były niepotrzebne, bo dziewczynka mieszkała w sąsiedztwie dzielnych poszukiwaczy. Samych poszukiwań nie starczyłoby jednak na wypełnienie tej przeszło 300-stronicowej książki, więc uzupełnił ją autor różnymi przygodami młodzieńców, którzy walczyli spędzić we własnym łeśnym domu w Gorach Izerskich.

Trzeba więc zaliczyć „Zaginioną dziewczynę” Ludwika Swieżawskiego do książek przygodowych, ale wy-daje się, że autor chciał

potraktować przygodę, jako konstrukcję nośną dla bar-dziej istotnych treści książ-ki. mianowicie dla jej war-tości dydaktyczno-wychowawczych. Przyjaźń, poczu-cie wzajemnej odpowiedzialności, bezinteresowna pomoc dla innych ludzi — to sprawy Swieżawski sta-wia na miejscu najważniej-szym. I wszystko byłoby w porządku, gdyby autor w niektórych fragmentach zbyt natrętnie owego dy-daktyzmu nie serwował, co młody czytelnik wykryje równie szybko, a może i szybciej niż dorosły.

Druga generalna pretensja to zbyt widoczne roz-ciąganie akcji. Autor robi to w sposób dwójaki — przy pomocy opisów i dia-logów.

— „Czy masz zamiar do kładnie opisywać nam Swieradów?” — zapytał Ję-drek.

— Nie, to tylko dygre-sja.”

Kaftek zdążył jednak w tej dygresji sporo o Swie-radowie powiedzieć, a au-tor nie ustrzegł się od wie-lokrotnego powtarzania po-dobnych, dzięki czemu nie-kóre partie „Zaginionej dziewczyny” mają charak-ter nieco przewodnikowy. Dowiadujemy się więc co można zwiedzić w różnych miastach i miasteczkach Dolnego Śląska, a i o Ło-dzi też trochę informacji się znajduje. Do tego Swie-zawski dorzuca szczerze opisy przyrody, które mógłby sobie darować.

Można sobie było także śmiało darować znaczną część dialogów, które mało

wnoszą i również osłabiają tempo akcji. W dodatku chłopcy zwracają się do siebie językiem, tak prze-sadnie poprawnym, że bę-dzie on chyba razie kilku-astoletniego czytelnika sztucznością. A i zastano-wić się może, czy po woj-nie chłopcy rzeczywiście rozmawiali w stylu niemal salonowym.

Przy okazji edycji książ-ki Swieżawskiego można też podyskutować nad rolą myśli plastycznej w tekście literackim. Na pewno ma ona ogromne znaczenie w książkach dla dzieci, ale „dekorowanie” książki dla młodzieży 9 rysunkami, w których przynajmniej 6 przedstawia zamazany kon-tur niezgrabnej góry, każe nie tylko wątpić w pięk-no Górz Izerskich, o któ-rym często pisze autor, ale i zastanawia się nad celo-wością tej wątpliwej ozdoby. Tego samego zdania był i sam artysta, skoro postanowił się nie ujawniać.

B. M.

Ludwik Swieżawski — „Za-giniona dziewczyna”, Ludo-wa Spółdzielnia Wydawni-cza, 1989 r., str. 317, cena 24 zł.

ZACZAROWANE ŚWIATŁO

W „Serii Dzieł Pisarzy Skandynawskich” Wydawnictwo Poznańskie ogło-siło wybór opowiadań duńskie-go pisarza, Williama Heine-sena, pt. „Zaczarowane światło”. Urodzony w 1900 roku Heinesen znany jest polskiemu czytelnikowi

wi z wydanej przed dwo-ma laty powieści „Czarny kocioł”. Jak czytamy we wstępie do tomu opowia-dań — „ciem fascynującej nowelli Heinesena jest skalisty świat Wysp Ow-czych, rzeźbiący oblicze niezwykłych ludzi i wyda-żeń”. Cechę charakterystyczną literatury skandy-nawskich, w tym również duńskiej, stanowi niechęć do tzw. eksperymentu li-terackiego. Również i Hei-nesen wydaje się wolny od aspiracji tego rodzaju. Stabularyzowane opowia-dania wysuwają na czoło opis losu ludzkiego w kon-kretnych sytuacjach ży-cia. Tom „Zaczarowane światło” zawiera piętnaście opowiadań, których rysem wspólnym jest ukaza-nie surowego życia pro-stych ludzi, borykających się z ciężkimi warunkami i własną namiętnością.

Surowość i prostota za-pisu literackiego nie ozna-cza bynajmniej, że brak tym utworom subtelniej-szych ujęć. William Hei-nesen jest pisarzem wytrawnym i doświadczonym i wie, w czym tkwi siła li-teratury jego kraju i jego własnego talentu. Przede wszystkim w tym, co różni ją od literatury innych krajów europejskich: w egzotyce życia ludzkiego i jego obyczajów.

jk.

William Heinesen: „Za-czarowane światło”, opo-wiadania przełożył Fran-ciszek Jaszuski i Maria Kłos-Gwizdzalska, Wyd. Poz-nańskie 1970, str. 211.

„PAN TADEUSZ” — ESTRADA POETYCKA CZY COŚ WIĘCEJ?

Poszukiwania Adama Hanuszkiewicza w zakresie telewizyjnych form teatralnych już nieraz absorbo-wały naszą uwagę. Jako jeden z pierwszych w na-szym kraju zorientował się, że powielanie w tele-wizji typowo teatralnych przedstawień jest z punktu widzenia rozwoju nowej sztuki jałowe i nie prowa-dzące do interesujących rozwiązań.

Po próbach cząstkowego zekranizowania „Pana Tadeusza” przystąpił do przedsięwzięcia na dużą miarę, mianowicie przeniesienia na ekran całej wielkiej epe-poi narodowej. Znaczenie tej seryjnej emisji, której częścią pierwszą — „Gospodarstwo” — oglądaliśmy w dniu 8 listopada w I programie, trudno przecenić.

„Pan Tadeusz” łączy w sobie poetyckie piękno z niezaprzecalnym walorem wychowawczym. Jakże o-żywczy jest kunszt słowa mickiewiczowskiego, jakie bogactwo polszczyzny otwiera się przed nami, ilekroć sięgamy po tę książkę! Dopiero w konfrontacji z nią stwierdzamy, jak ubogim językiem operujemy na co dzień, w jak małym stopniu wykorzystujemy pięk-no soczystej i jędrnej mowy polskiej. Nie mówię już o jej smętnej karykaturze, której przysłuchiwać się można pod kiośkiem z piwem.

Przywiązanie Mickiewicza do języka ojczystego to jeden tylko z elementów głębokiego i wzruszającego patriotyzmu, jakim nasycone są księgi „Pana Tadeusza”. Miłość ojczyzny rozniela się tam chwilowo na drobne sentymenty do rodzimego krajobrazu, do stroju, do jada, do obyczajów. Ta pozorną atomizacją uczuć zdąży jednak do wspólnego koryta, tworzy konkretną, niewerbalną tkankę owej wielkiej, wszech-ogarniającej miłości.

Trudno o lepszy wybór tekstu dla telewizyjnej ma-szyny, która rozprowadzi go po całym kraju, reali-zując w technicznie zreprodukowany sposób prag-nienie Mickiewicza „żeby te księgi zbłądziły pod strzechy” (tyle, że i strzech już coraz mniej). Ale „Pan Tadeusz” w telewizji to nie tylko sprawa wy-boru. To konieczność zdecydowania się na jakąś kon-wencję przekazu.

Były próby adaptacji filmowej i teatralnej epe-poi, ale z reguły nieudane. Dialog mickiewiczowski wto-piony jest w narrację, tkwi w niej jak inkrustacja. Jak uporządkować to przemieszanie, jak rozplasać kwestie na postaci? Czy przerywać im w pół wiersza głosem narratora? Boć przecież klasycznie pięk-ne i regularne trzynastozgłoskowca, jakim pi-sane jest dzieło, naruszyć nie wolno.

Hanuszkiewicz przyjął inną metodę. Postaciom Tadeusza, Sędziego, Telimena przypisał nie tylko ich bezpośrednie wypowiedzi, ale i te partie opowio-we, które danej postaci dotyczą. Z pewną arbitralnością dzieli więc reżyser tekst mickiewiczowski między aktorów, wkładając im w usta materię słowną cha-kteryzującą reprezentowane przez nich postaci.

Aktorzy częściowo referują odgrywane postacie, ale częściowo utożsamiają się z nimi, o czym świadczy choćby zastosowanie kostiumu. Narratorzy (Hanusz-kiewicz, Voit, Machaliński) podają tekst nie związa-ny z poszczególnymi postaciami, lecz leżący jakby po-między bohaterami epe-poi, obcujący z nimi na zasa-dzie równych partnerów, jakby należeli do światka w Soplicowie.

Aktorzy w ujęciu Hanuszkiewicza czasem mają do przekazania większe monologi, czasem zaś przejmują od siebie tekst w pół wiersza, przerzucając go sobie wzajemnie, tworząc imitację rozmowy. Tą metodą udało się na przykład świetnie rozegrać scenę pierw-szego flirtu między Tadeuszem (Znoski) i Telimemą (Jedlewska).

Dramatyzacja „Pana Tadeusza” dokonana przez Ha-nuszkiewicza dla telewizji jest więc nowa, zrywająca ze stosowanym dotąd schematem. Nie mamy do czy-nienia z typową estradą recytatorską, lecz z teatrem. Ale z teatrem innego rodzaju, dostosowanym do środków telewizyjnego przekazu.

Jesteśmy u progu seryjnej emisji, która trwać bę-dzie z miesięcznymi odstępami rok. Zasmakujemy w niej chyba wszyscy.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



spektakle tygodnia

Spektakli Widzów proc.

TEATR WIELKI			
— „Faust”	2	2520	100
— „Jeziro łabędzie”	1	1135	90
— „Straszny dwór”	1	1260	100
— „Książę Igor”	1	1280	100
— „Wieczór baletów polskich”	1	1107	88
NOWY			
— „Janosik”	5	3500	100
— „Szkoła kobiet”	1	700	100
— „Zemsta”	2	1400	100
NOWY — MAŁA SALA			
— „Teoria Einsteina”	4	800	100
— „Rodeo”	3	800	100
— „Księżyc świeci nieszczęśliwym”	1	200	100
JARACZA			
— „Król Edyp”			
— „Jęgor Bułyczow”	2	1028	100
POWSZECHNY			
— „Profesja pani Warren”	3	1980	100
— „Lizystrata”	2	1000	90
— „Wszyscy moi synowie”	2	1320	100
7.15			
— „Lektorn”			
OPERETKA			
— „Dama od Maxima”	7	7688	100
FILHARMONIA			
— 2 koncerty symfoniczne		1764	123

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Oskary roku 1961 za najlepsze zdję-cia, dekoracje i kostiumy w filmie barwnym, takie nazwiska wykonaw-ców głównych ról jak Laurence Oli-vier, Charles Laughton, Peter Usti-nov, Kirk Douglas i innych to głów-ne hasła wizerunkowe amerykańskiego supergiganta — filmu „SPARTAKUS”. Dodajmy do niej nazwisko Stanleya Kubricka — reżysera, który ze swej strony zrobił wiele, by realizować film wykreślający ambicjami poza ramy typowych dla Hollywood tego rodzaju monumentalnych produkcji.

Zrealizowany w latach 1959—1960 „Spartakus” był jednym z tych wów-cześnie realizowanych filmów, których funkcją podstawową była wielka ba-talia kinematografii amerykańskiej gorączkowo poszukującej ratunku przed zagrożeniem, jakim stała się telewizja. Wielki ekran (70 mm), stereo-fonia, rozmach realizacji, wyraża-jący się w dziesiątkach tysięcy zaan-gażowanych statystów, przepychu de-koracji i kostiumów, a wreszcie udzia-łu w filmie wielkich gwiazd świa-towego kina, miały to być środki za-pewniające kinematografii powrót wi-dzów, którzy zaczęli ją zdradzać na rzecz telewizji.

Gdy oglądamy „Spartakusa”, trud-no nie wierzyć w szansę powodzenia tego rodzaju filmów wśród szerokiej publiczności, skromny ekran tele-wizyjny musi przegrać tę konkurencję satysfakcji wizualnej.

Ponieważ przywykliśmy, że tego ty-pu dzieł jak „Spartakus” nie sposób traktować jako filmy stricte history-czne, meritum historyczne tego filmu zostawmy na boku.

Kirk Douglas, producent i odtwór-ca tytułowej roli uczynił wszystko, by zapewnić filmowi realizatorów najprzedniejszych. Powstał film, o którym jedno powiedziec na pewno możemy — jest szlachetny w inten-cjach i tonie oraz znakomity w reali-zacji.

Gdy wspomniemy ogrom złego sma-ku wywierający niemal z każdego ka-dru „Kleopatry”, jej tani sentymentalizm, rozłączając się dramaturgę, „Spartakus” jawi się jako mocny ar-gument artystycznej szansy supergiga-nta filmowego. Reżyser S. Kubrick pla-cąc pewien haracz gatunkowym uwa-runkowaniom swego „Spartakusa”, zrealizował jednak film, którym udowodnił, że w czterogodzinny spe-ktaklu można tak regulować tempo, tak

budować napięcia, kontrastować sy-tuacje i postacie, iż odbiorca na mo-ment nie ulegnie znuczeniu.

Są w tym filmie dwie sekwencje, które w pamięci widza pozostaną chy-ba na długo. Jedną i drugą jest fil-mowym majstersztykiem budowania napięcia — pierwszą obrazuje scenę oczekiwania i samej walki na śmierć i życie dwu gladiatorów, drugą — wielką scenę batalistyczną ostatniej bitwy powstańców Spartakusa z wojskami Kressusa. W obu tych scenach Kubrick udowodnił przed laty, że dy-namiczne cięcia montażowe, decydu-jące o rytmie i nośności emocjonalnej tych sekwencji można również stoso-wać w epice filmowej przeznaczonej na wielki ekran.

Krytycy zachodni dopatrywali się w reżyserii Kubricka fascynacji wester-nem. Jest w tym jakaś prawda, widać ją chyba głównie w sposobie widze-nia pejzażu i komponowania wrażeń ludzi a także w charakterystowaniu postaci, zwłaszcza Spartakusa i jego współtowarzyszy, których łączy z kla-sycznymi westernowymi bohaterami nie tylko podobna sprawność fizycz-na, ale owa nieskazitelną moralną,

poczucie godności i umiłowanie wol-ności.

Dzięki kulturalnej, pełnej umiaru reżyserii Kubricka te cechy łączące bohaterów „Spartakusa” z bohaterami westernu wcale nie wydają się fałszem czy błaznada.

Obsada „Spartakusa” gwarantuje wi-dzom koncert gry aktorskiej i soli-stów prawie nie wypada tu wyróżniać.

\*\*\*

Bohater radzieckiego filmu „ŚWIEC MOJA GWIAZDO” nosi przydzwie-tnie Iskremas — jest ono skrótem ha-sła: „iskrusstwo rewolucyjnym mas-som”. Iskremas wierny swej idei niesienia sztuki rewolucyjnym masom objeżdża w 1920 roku wieś i miastecz-ka Ukrainy i wystawia, nie mając sceny i aktorów — Szekspira, Nie zwa-żając na sytuację historyczną, w któ-rej co dzień niemal w miasteczkach tych zmienia się władza, raz rządzą czerwoni, raz biali — szalony i naiwny, ale wierny swej idei nowej sztuki dla nowego odbiorcy Iskremas reali-zuje swe improwizowane spektakle.

EWA NURCZYŃSKA



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## DWIE KSIĄŻKI O COCTEAU

W siódmą rocznicę śmierci dramaturga, powieściopisarza, scenarzysty filmowego, malarza i rysownika, a nade wszystko wielkiego poety jakim był Jean Cocteau, zmarły w wieku lat 74, ukazały się dwie książki poświęcone jego pamięci.

Pierwsza to „Album Cocteau”. Jest to zbiór dokonany przez Pierre Chano-



Afisz narysowany przez Jeana Cocteau z okazji galowego przedstawienia „Kroń Edypa” (1937)

la rysunków Jeana Cocteau. Drugą książkę napisał Claude Mauriac. Tytuł jej brzmi „Une Amitie en trarlee”. Jest to właściwie wyciąg z „Dziennika” prowadzonego przez Claude Mauriaca, który zwierza się ze swej wieloletniej przyjaźni z Jeanem Cocteau. Książka ma tytuł „Przekorna przyjaźń”, gdyż obydwaj przyjaciele przeżyli niejedną burzliwą chwilę, nieraz poróżnili się z sobą, zrywali przyjaźń by znów się wkrótce pojednać. Mimo różnicy wieku zawsze w końcu odnajdywali wspólny język, gdyż łączyli ich wspólne zainteresowania intelektualne. Książka Claude Mauriaca jest pierwszym tomem za-

krójonego na większą skalę dzieła pt. „Czas nieruchomy”. Dzieło to oparte jest właśnie na prowadzonym od lat czterdziestu dzienniku.

## GILBERT BECAUD W PARYSKIEJ „OLIMPII”

Każdorazowy występ Gilberta Becauda jest dla paryskich miłośników piosenek prawdziwym przeżyciem. Gilbert Becaud wrócił właśnie z tournée w Belgii i występuje obecnie w „Olimpii”. Piosenkarz ma obecnie 43 lata i piętnaście lat sukcesów estradowych. Na pytanie reportera tygodnika „L'Humanite Dimanche” czy przygotowuje jakiś stały styl swoich występów piosenkarz odpowiada: „Pan rozumie, ja występuję około 250 razy w ciągu jednego roku. Więc jeśli za każdym razem miałbym powtarzać dokładnie te same gesty w tym samym momencie, znudziłoby mnie to okropnie... I oczywiście publiczność znudziłaby się także”. W ciągu wywiadu Gilbert Becaud opowiada m.in. o tym, że wprowadzić nie pisze słów do swych piosenek, ale komponuje do nich muzykę. „Jak znalazł pan czas by pracować z autorami mając 250 występów w ciągu roku? Komponuje pan muzykę do tekstów, czy najpierw komponuje pan muzykę?” „Pracujemy nocami — odpowiada Becaud. — Autorzy nie tylko spotykają się ze mną, ale i pozostają ze mną przez wiele dni. Pracujemy wspólnie a słowa i muzyka rodzą się w tym samym czasie i stają się nierozłączne”.

## SZTUKA LUDOWA GRUZI W PARYŻU

Ostatnio w Paryżu przy placu Republiki została otwarta wystawa ludowej sztuki gruzińskiej. Wystawa zgromadziła około trzy-

stu eksponatów. Są tu obrazy, tkactwo artystyczne, ozdoby itp.

## NOWA SZTUKA ANOUILHA

Po dwóch ostatnich sztukach dramatycznych „Cher Antoine” i „Les Poissons rouges” w których znalazły się elementy autobiograficzne, Jean Anouilh na piątą sztukę, również opartą o elementy własnych doświadczeń zawodowych i życiowych. Sztuka ma tytuł „Ne reveillez pas madame...” i została wystawiona w Comedie des Champs-Elysees akurat w sześćdziesięciolecie urodzin autora. „Ne reveillez pas madame...” (Nie budźcie pani...) jest sztuką o teatrze, co ostatnio stało się niemal stałą obsesją Anouilha. Bohaterem sztuki jest Julien Paluche, kierownik grupy aktorskiej, świetny reżyser lecz znacznie słabszy jako aktor. Bohaterem ostatniej sztuki Anouilha, skłócony wewnętrznie, pełen wymagań i równocześnie skrupułów jest kobieciarzem i efekciarzem, ale jego prawdziwym życiem jest teatr i teatr według niego jest od wzorowaniem życia w ogóle, Julien Paluche uwikłany w rozterki między iluzją a rzeczywistością popada w konflikty z kobietami — matką, córkami, przyjaciółkami. Dąży ku sławie, ale na końcu sztuki zostaje samotny wraz z miernym aktorzyzną. Sztuka napisana z mistrzostwem wytrawnego dramaturga, jakim jest Anouilh, ma wiele scen zabawnych, pikantnych dialogów, ciekawych sytuacji i mimo, że mówi o sprawach poważnych napisana jest lekko i z wdziękiem.

## PAMIĘCI ZAMORDOWANYCH

W sosnowym lesie niedaleko Rygi, w latach ostat-

niej wojny, hitlerowcy założyli obóz zagłady. Tu umierali więźniowie przywożeni z wielu krajów Europy. Wśród nich byli także i Polacy. W listopadzie 1944 roku tuż przed nadejściem zwycięskiej Armii Czerwonej, hitlerowcy starali się zatrzeć wszelkie ślady istnienia obozu. Spalono ciała pomordowanych więźniów, popalono obozowe budynki i baraki. Dziś na terenach dawnego obozu wznosi się pomnik dla upamiętnienia mieszkańców i śmierci ofiar hitlerowskiego barbarzyń-



stwa. Teren byłego obozu został artystycznie zakomponowany. Rozwiązanie architektoniczne i rzeźbiarskie jest niezwykle proste i w tym właśnie tkwi ogromna siła wyrazu. U wejścia do obozu widnieje ponad stumetrowej długości betonowa belka. Jednym końcem spoczywa na ziemi, drugi jej koniec wsparty jest na bryle wyłożonej czarnym granitem. We wnętrzu bryły znajduje się muzeum obozowe, gdzie oglądać można resztki śladów po istniejącym niegdyś obozie. Niewiele tych pamiątek — kilka numerów jakie nosili więźniowie, kawałek sznura z szablonem, podobno fotografie obozu i krótkie notatki o obozie. Belka, wewnątrz której znajduje się galeria prowadząca do muzeum, symbolizuje szlaban pod którym przechodzili więźniowie.

Dalej rozciąga się granitowa płyta. Tu składane

są wieńce i kwiaty. Pod płytą jest ziemia ze wszystkich dwudziestu obozów koncentracyjnych jakie założył hitlerowcy na Łotwie. Dalej biegnie „droga śmierci” zbudowana rękami więźniów, teraz wysypana ostrymi kamykami granitu. Pośrodku obozu rozciąga się plac, na którym stoją cztery symbole — pomniki. Mają wysokość od czterech do dwunastu metrów. Wykonane są z nie wygładzonego betonu, ustawione na betonowych płytach wprost na ziemi.

Oto postać dziewczyny, której proste włosy rozsypany są na plecy. Kleczy i ręką zaskłania twarz, jakby broniła się tym rozpaczyliwym gestem przed naszym nastąpieniem. Oto inna rzeźba, ustawiona niedaleko miejsca w którym był barak dzieci — tragiczna postać matki do której dzieci tuli się przez ramię. Inny pomnik to grupa rzeźb przedstawiająca czterech mężczyzn. Jeden z więźniów podtrzymuje swego towarzysza niedoli, który stania się i upada. Dwaj inni mężczyźni unoszą ręce ze zwinionymi w pięść dłońmi w geście protestu, może przysięgi. Jeszcze inna rzeźba to umierający więzień, który ostatnim, nadludzkim wysiłkiem woli próbuje jeszcze wstać.

W miejscach gdzie stały baraki kwitną róże. Tam



gdzie były ściany baraków leżą teraz betonowe płyty.

Autorami tego wielkiego pomnika-zespołu jest zespół architektów i rzeźbiarzy, którzy projekt swój wysłali na konkurs ogłoszony w roku 1954. W skład zespołu weszli architekci: Gunar Asaris, Olgieris Ostenberg, Iwar Stratanmanis i rzeźbiarze: Lew Bukowski, Oleg Zakamienij, Jan Zariń i Oleg Ska rajnis.

Projekt został zrealizowany na terenie byłego obozu zagłady na jesieni 1967 roku.

Zespół za swoje dzieło otrzymał w bieżącym roku Nagrodę Leninowską.

## OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

## SPRAWY ŁÓDZKICH PLASTYKÓW

PRZEGLĄD SZTUKI UŻYTKOWEJ — ZNÓW SPRAWA GALERII SZTUKI — NAGRODY PRZEMYSŁU DLA ARTYSTÓW — KONKURS NA OBRAZ — EKSPONOWANIE W KUTNIE I WARSZAWIE — 25 LAT OD DZIAŁU ZPAP — ZASŁUŻONE SŁOWA UZNANIA

Bardzo ciekawie rozpoczęła się sezon plastyczny w Łodzi. O wielu wystawach piszemy niejako na bieżąco — w tym miejscu więc chętnie zwrócimy uwagę m.in. na otwartą nie dawno Wystawę Sztuki Użytkowej Łódzkich Plastyków. Dobrze więc, że ta ekspozycja staje się tradycją, że podobnie jak swoje doroczne przeglądy mają malarze i graficy parający się tzw. sztuką czy sta — takiego przeglądu doczekali się i „użytkownicy”. Bo jest przecież w Łodzi ponad 250 plastyków uprawiających tę nietłwą — często pogardzaną — a jakże potrzebną sztukę. Istnieje zatem autentyczna potrzeba pokazania ich osiągnięć.

A są one i niemałe i ciekawe. Na wystawie w Parku Sienkiewicza pokazano około 300 prac — projekty tkanin i firanek, dywany i koronki, piękne wyroby szklane z piotrkowskiej

„Hortensji”, gdzie też działają łódzcy twórcy, wyroby ze skóry, etykiety, opakowania, prospekty... Nato miast w Salonie Wystawowym przy Piotrkowskiej reprezentowano plakaty — społeczne, polityczne, teatralne. Niestety — takie robienie jednej przecież wystawy na dwie części było koniecznością. Łódź — jak wiadomo — wciąż nie ma przyzwoitej galerii sztuki, mogącej pomieścić większą wystawę. Ale to już ani wina plastyków, ani miejscowego mecenatu... O galerii mówi się od lat bez mała dwudziestu — jak dotąd tylko się mówi.

Przy okazji tej wystawy warto zwrócić uwagę na pewien znamieny fakt. Otóż oprócz siedmiu medali przyznanych za najlepsze prace, tylko Zjednoczenia Przemysłu Bawełnianego i Wełnianego ufundowały nagrody za najlepszy projekt tkaniny w

tych branżach. Tylko te Zjednoczenia dostrzegają i doceniają rolę plastyka w procesie produkcyjnym tworzenia dobrej, ładnej tkaniny. A przecież w Łodzi jest wiele zjednoczeń i dziesiątki plastyków projektujących dla określonych branż przemysłowych. Miejmy nadzieję, że na następnych wystawach sztuki użytkowej będzie więcej nagród za projekty przemysłowe. Myślę nawet, że nagrody przemysłu dla artystów projektujących dla przemysłu mogłyby stać tradycją dorocznych przeglądów dorobku łódzkich „użytkowców”.

Ale to nie koniec festiwnych poczyniń łódzkiego okręgu ZPAP. Otóż zorga niowano i Ogólnopolski Konkurs na obraz sztalugowy. Tym razem bez tematyki i okolicznościowych warunków. Chodzi po prostu o dobre malarstwo — nie więcej. Jak się można było spodziewać konkurs znalazł uznanie wśród polskich artystów, bowiem nadesłano około 600 prac — m.in. prawie 200 obrazów przysłał malarze stolicy, ponad 100 z Krakowa... No i oczywiście z Łodzi. Konkurs nosi cyferkę „Pierwszy”, bowiem ambicją oddziału ZPAP jest organizowanie takiej imprezy co dwa lata, jako prezentacji aktualnych tendencji w polskim malarstwie. Na groźne prace zostaną wy-

dane w światłodrukowych reprodukcjach łódzkiej Graficznej Pracowni Dofinansowanej. Nagrodą będzie więc dla artysty roz powszechnienie jego dzieła — popularyzacja wśród sekte odbiorców. Taka nagroda to coś więcej niż brzęcząca moneta.

Niestety — spośród 600 nadesłanych prac na wystawie znalazło się zaledwie jedna trzecia czyli około 200 obrazów. Taka jest — niestety — górna granica możliwości ekspozycyjnych Łodzi — miasta o leżącym się w kraju i za granicą środowisku plastycznym. Dlaczego? Znowu trzeba by wrócić do problemu galerii sztuki...

A przecież łódzkie środowisko ma poważne osiągnięcia — łódzcy artyści są czynni i ekspozycyjni w innych ośrodkach kraju. Przykłady? Proszę bardzo — niedawno w Centralnym Domu Wojska Polskiego w Warszawie czynna była wystawa malarstwa batalistycznego właśnie łódzkiego okręgu ZPAP. W Katowicach łódzcy artyści ekspozycyjni swą pracą na wystawie pelsza przemysłowego. W Krakowie biorą udział w poplenerowej wystawie „Szlakiem Lenina”. Biorą udział w Trzecim Festiwalu Sztuk Pięknych w warszawskiej Zachęcie. Nie mówiąc już o tym, że lech obrazy trafiają nawet na... znaczki pocztowe.

JERZY WIDOK

Warszawa, Kraków, Katowice... Ale także Kutno. Właśnie w Kutnie w mieście swojej bibliotece łódzki ZPAP otworzył ostatnio wystawę prac, będących efektem zróstego już planu Ziem Łódzkiej. Łódzcy plastycy, niezależnie od sukcesów w wielkich miastach i znaczących ośrodkach kulturalnych — docierają ze swoją sztuką także i do powiatów, do miasteczek województwa, popularyzując dobre malarstwo, ucząc odbiorcę wrażliwości na piękno, kształtując dobry smak przeciętnego widza, który właśnie tam „gdzieś w powiecie” ma do czynienia z obrazem jakże często tylko na odpustowych makatkach.

Zbliża się 25-ta rocznica żywej działalności łódzkiego oddziału ZPAP. W podsumowaniu tego dorobku padnie na pewno wiele cyfr i przypomni się wiele inicjatyw. Chciałbym więc na zakończenie powiedzieć, że prezentowane tu niektóre tylko osiągnięcia i inicjatywy łódzkich artystów dotyczą zaledwie paru ostatnich tygodni. A przecież na 25 lat składają się setki takich tygodni. Jeśli więc piszę, że środowisko plastyczne Łodzi wyrosło na jedno z najpoważniejszych w Polsce — nie są to słowa bez pokrycia.

# Bez strachu CAŁY CZŁOWIEK

Wydaje się, że znany rzeźbiarz, podstawa wy pion, wokół którego człowiek się rozstraja, wznosi i opada z sil, ogromnie i maleje... Jan jest Janem — młodym Janem, starym Janem, szczupłym Janem, grubym Janem, Janem przed zawalem serca i Janem po zawale. Janem synem i Janem ojcem. La tam Jan na urlopie, w krótkich spodniach, zimą Jan w paltole, w kapeluszu, w rękawiczkach. Istnieją Janowe sezony i specyficzna jest w każdym z tych sezonów stosowna kompletność Jana, należyty jego ryzystunek. Ale oto w Janie stwierdzamy ubytek — gubi rękawicę i zanim ją odnajdzie, lata w jednej. Traci zęby i zanim wstawi sztuczne sepleni i nie gryzie strawę. Cóż dopiero, kiedy straci oko, czy ucho — czy to jeszcze Jan, czy też już nie on? Czy wie rzyć mamy w ostatecznie ukonstytuowanych, jasnych i konsekwentnych ludzi Balzaka, czy też w niedoświadczonych, bezgranicznie przemienionych ludzi Dostojewskiego, czy też może czas wy nowsze uformowały na wy rodzaj człowieka — bezgranicznie przemieniony i konsekwentny (np. w dynamie i rytmie przemian). Tak czy inaczej, jeżeli jest zima, to konsekwentny, spójny jest człowiek urękawiczony dwustronnie i dwustronnie ubity, natomiast stracił starca mu jeden, bowiem czoło wiek ma dwie nogi, dwie ręce, ale jedno gardło. Wszystko to — powie ten czy ów, cechy zewnętrzne — to nie człowiek, to oddzielenie. Zgoda, ale przecież odzienie ludzkie. Czy nagły człowiek jest pełny, jest możliwy w długotrwałym działaniu, czy może obracać się między ludźmi, spełniać ważne funkcje? Nagły człowiek to figura z niedługich, intymnych momentów i z atlasów anatomicznych — jedynych dzieł sponujących człowieka całego, kompletnego. Rozumiem pragnienia nudystów, istotą ich dążeń nie jest przekształcenie tego co wstydlive i ukryte w to, co oczywiste i jawne. Nudyści pragną manifestacji człowieka całego, kompletnie stałego.

Nudyści ludzka się i błądzą oczywiście — zdołali jedynie złudzenia ubioru zastąpić złudzeniem kształtów, gestów — takiej czy innej pozy. Nawet gdyby ponad nudyzmem ciał była możliwa forma trudniejszej, niż cielesna, nagości psychiki, nigdy cały człowiek nie ukazałby się innym ludziom. Akt ukazywania psychiki, osobowości przemieniałby psychikę i osobowość gruntu twój niż manifestacja cielesnej nagości przeznacza ciało człowieka. Ludzie jak się staje, ludzie jak się staje, ludzie jak się ukazuje — oto niektóre tylko z możliwych tu pytań... Poznajemy taką czy inną cechę, lub zespół cech człowieka i sądzimy, że znamy całego człowieka. Przeżywa my jedno lub dwa ładnie uczucia i ulegamy klamrowi emocji, fragmentarycznej miłości, przelotnej odraze. Człowiek jest materiałem danym nam do poznania i uczuwania. Błądzą nudyści, bowiem niekiedy porzuca rękawiczkę, okulary w drucianej oprawie, przedmioty jednostkowo upsychologizowane, umentalnione, to więcej niż ciało człowieka, niekiedy to cały człowiek w tym sensie, że to wszystko co z człowieka pozostało...

BERNARD SZTAJNERT



# Zemsta

Gdy weszła do mego pokoju właśnie telefonowałam. Poprosiłam żeby usiadła i chwilę po czekała. Gdzieś już widziałem tę piękną i młodą kobietę... Położyłem słuchawkę.

— Proszę powiedzieć, co panią do mnie sprowadza.

— Nazywam się Louise Johnson. Mój mąż, Harry, znalazł się w ciężkiej sytuacji, sprawa żyła lub śmierci. Czyha na niego Roland Miller, już dwa razy usiłował zabić go.

— Proszę pani, tego rodzaju sprawy należą do policji!

— O, nie! Policja bez dowodów nie ruszy palcem! Gdy pan dostarczy faktów możemy dopiero włączyć w to policję. Też proszę powiedzieć, że mam przy widzeniu.

— Wobec tego proszę mi przedstawić fakty.

Fakty poznałem później, w willi państwa Johnsonów. Harry poczęstował mnie kieliszkiem whisky. Sam nie pił, lecz dużo palił, jednego papierosa za drugim. Jego palce były zniszczone nikotyną, poślizgi, kaszał często.

— Jestem importerem drewna — opowiadał Johnson. — Lecz niegdyś pracowałem w Indiach na rzecz Rolanda Millera. Pewnego dnia wyszły na jaw wielkie nadużycia finansowe i Roland został skazany na sześć lat ciężkiego więzienia. Muszę się jednak przyznać, że była to moja wina, gdyż to ja zabrałem pieniądze z kasy.

— Zaczynam rozumieć — stwierdziłem.

— Miller poprzysiął zemstę. Wyszedł z więzienia pięć miesięcy temu i wkrótce zaczęły się napady. Najpierw próbował wechnąć mnie pod wagon kolejki podziemnej. Następnym razem ścisnął mnie autem i przestrzelił mi opony, o mało nie wpadłem do rzeki.

— Z tego widzę, że Miller nie chce pana zabić, to zbyt niebezpieczne dla byłego więźnia. Pragnie raczej nastraszyć pana. Prawdopodobnie myśli o szantażu wiedząc, że ma do czynienia z człowiekiem zamożnym. Na pewno zjawi się niedługo i

żąda większej sumy. Wtedy proszę do mnie zatelefonować, a ja go wezmę w obroty.

★

Telefon zadzwonił jeszcze tej samej nocy. Poznałem głos kapitana policji Billa Marvena. — Hartman, czy pan zajmuje się sprawą Harry'ego Johnsona?

— Owszem, zajmuję się. Co się stało?

— Proszę natychmiast przyjechać do jego willi! Zna pan drogę.

Po piętnastu minutach przyjechałem na miejsce. Była już tam policja i karetka pogotowia. W saloniku siedziała Louise Johnson pogrążona w łzach. W gabinecie spotkałem Marvena.

— Miał być tylko szantaż! — zaśmiał się szyderczo. — Oto nasz Sherlock Holmes, któremu nie udało się teoria! Proszę iść ze mną do łazienki.

Nie opiszę tego, co zobaczyłem. Morderca zabił Johnsona siekierą. Twarz była zmasakrowana, nie do rozpoznania! Nieboszyk miał na sobie to samo ubranie, w którym widziałem go przed kilkunastoma godzinami. Obejrzałem zwłoki bardzo dokładnie.

— Zbrodniarz wszedł przez okno łazienki — wyjaśniał Marven. Johnson był sam w domu. Gdy żona wróciła z przyjaciela u koleżanki, zastała męża tak, jak teraz widzimy.

W najważniejszym punkcie sprawy byłem innego zdania. Zapytałem po prostu: — Czy jest pan pewny, że trup w łazience jest Johnsonem? Dla mnie jest to Roland Miller. Johnson miał palce złote od nikotyny, a ten mężczyzna nie był w ogóle palaczem.

Kapitan zdumiał się — i tak go pozostawiłem.



Dla mnie przebieg wydarzeń przedstawiał się jasno. Małżonkowie Johnson ścignęli Millera do swego domu. Zabili go i przebrali w odzież Harry'ego. Lecz niedługo telefon kapitała zburzył moje przypuszczenia. — Zmarły jest naprawdę Johnsonem! — krzyczał zdenerwowany policjant. — Potwierdzą to odciski palców i proste zębów. Rozmawiałem z dentystą, który go leczył. A więc strzelił pan jeszcze jedno go byka! — stwierdził złośliwie,

Dzienniki pełne były opisów i fotografii. Przeglądałem się zdjęciem pięknej Louise... Gdzie ją widziałem?... Ta myśl nie dawała mi spokoju. Poszedłem do mego przyjaciela Bruce'a, znanego aktora.

— Jak to, nie wiesz? To jest Louise Grone, słynna niegdyś tancerka i śpiewaczka, poślubiła później bogatego kupca Harry'ego Johnsona.

— Nareszcie wyjaśniło się! Ależ przypominam ją sobie teraz! Nie wiem, jak ci dziękować!

Trzy dni później w mojej teczce leżały adresy wszystkich fotoreporterów. Przeszukałem wiele miast. Po dwóch miesiącach wiedziałem wszystko o Millerze.

★ ★ ★

Kapitan przyjął mnie w swoim gabinecie i posadził na fotelu przeznaczonym dla ważnych osób. Słyszał o moich poszukiwaniach, wiedział, że przez dwa miesiące przeglądałem setki fotografii w archiwach różnych agencji. Wydałem na to wiele pieniędzy, lecz czego się nie robi dla odzyskania dobrej reputacji!

— Wszystko zaczęło się od tego momentu, gdy pan mnie zapewnił, że zmarły był naprawdę Johnsonem. Zadałem sobie pytanie: a więc kim jest ów mężczyzna, którego poznałem jako Johnsona podczas pierwszego spotkania w willi? Marven przyglądał mi się z pośonną miną.

— Musiał to być ktoś — opowiadałem dalej — kogo pani Louise dobrze znała, może od wielu lat, może w tych czasach kiedy jeszcze pracowała dla ilustracji reklamowych albo występowała w nocnych lokalach. Ileż setek zdjęć jej osoby mogli zrobić fotoreporterzy! Przyszła mi wówczas myśl, żeby przekartkować wszystkie zbiory fotografii znajdujące się w różnych agencjach.

Zapaliłem papierosa, aby zrobić dłuższą przerwę w opowiadaniu. Widziałem z jakim napięciem słuchał mnie kapitan.

— Louise Grone lubiła się fotografować i miała tego dużo. Lecz mnie interesowały tylko zdjęcia, które ją przedstawiały w towarzystwie przyjaciół. Kogo tam nie było, kobiety i mężczyźni różnych typów! Ja szukałem tylko jednego. Zapamiętałem tę twarz bardzo dokładnie. Szukałem mężczyzny, którego Louise przedstawiła mi jako swego męża, Harry'ego Johnsona. Namiętego palca papierosów. Wiedziałem, że to sprawa trudna i tylko jakiś szczęśliwy traf mógł mi pomóc. Kapitanie, czy zechce pan spojrzeć na tę fotografię?

Otworzyłem teczkę i wyjąłem zdjęcie formatu dwadzieścia cztery na trzydzieści. Podałem je oficerowi. Widziało się tam



młodą Louise Grone w czasie zabawy w restauracji. Stół był obficie zastawiony, towarzystwo w strojach wieczorowych, aktorki, aktorzy, grube ryby z telewizji. Obok rozbawionej Louise Grone siedział przystojny mężczyzna, który coś do niej mówił uśmiechając się.

— Oto ten — rzekłem wskazując palcem — jest mężczyzna, którego Louise Johnson przedstawiła mi jako swego męża. To jest, właśnie człowiek, z którym wówczas rozmawiałem. Człowiek, który bał się Millera i prosił, abym się nim zaopiekował. Muszę przyznać, że doskonale recytował swoją rolę człowieka szantażowanego.

Jak już mówiłem panu, byłem zawsze przekonany, że nieboszyk w łazience nie był tą samą osobą, z którą rozmawiałem owego dnia. W pierwszej chwili podejrzałem, że to jest Miller, lecz po pańskim zapewnieniu, że to Harry Johnson, musiałem przejść na inną koncepcję, tym razem ostateczną. Prawda tak wyglądała: Louise pozbyła się męża namówiwszy kochankę do zbrodni. Po-

tem zrzuciła winę na Millera, lecz popełniła tu zasadniczy błąd, gdyż nie sprawdziła miejsca pobytu eks-więźnia. Tymczasem Miller po odbyciu kary schronił się do Japonii, gdzie zmarł przed kilkoma tygodniami.

Marven przyglądał mi się zmarszczywszy lekko brwi. Ta ostatnia wiadomość nie poruszyła go zbyt, ponieważ od pewnego czasu Scotland Yard szukał Millera właśnie przy współudziale policji japońskiej.

— Interesuje mnie jak pan trafił na ślad Millera w Japonii? — zapytał kapitan.

Uśmiechnąłem się. — Wszyscy prywatni detektywi na świecie współpracują ze sobą i pomagają jeden drugiemu. Mam przyjaciela w Japonii, któremu niegdyś przysłużyłem się i teraz on mi się odwzajemnił.

— No i dowiedział się pan wcześniej o śmierci Millera niż my — musiał przyznać kapitan. — A więc niech pan teraz wykrzyje kim jest ten mężczyzna na fotografii obok Louise Grone. Proszę go aresztować, a ja przysięgnę na rozprawie sądo-

wej, że to jest człowiek, który zajął miejsce Johnsona i następnie go zabił na zlecenie pani Johnson.

Zostawiłem Marvenowi fotografię i szczegółowy raport o moich poszukiwaniach i odkryciach.

Niedługo wybuchła bomba. Zabójca Johnsona nazywał się Donald Forester, był z zawodu pianistą. Został aresztowany i uwieziony. Louise Johnson przyznała się do wszystkiego. Z Japonii nadeszła urzędowa wiadomość stwierdzająca zgon Millera i datę jego śmierci.

Wszystkie gazety rozpisywały się o tych faktach. Nie pominięto także udziału mojej osoby. Nawet Marven przyznał publicznie, że Scotland Yard posłużył się współpracą jednego z najdzielniejszych detektywów w Anglii, pana Johna Hartmana, którego należy uważać za detektywa o wybitnej inteligencji.

Taki już jest Marven: przechodził z jednej ostateczności do drugiej.

Oprac. A. S.



## Lewym okiem

REMANENT

Co najmniej kilka razy do roku sporządza się w każdym detalicznym punkcie sprzedaży czekoladek — remanent. Nie dowierając zapisom w dokumentach, ani własnym deklaracjom osób zainteresowanych, ani pamięci własnej — siadamy i liczymy pudełko po pudełku, śrubkę po śrubce, turebkę po turebce.

Zamyka się przy tym na głucho drzwi i okna oraz wywiesza tabliczkę: „Remanent”. W ramach uprzejmienia i podnoszenia kultury dodajemy od niedawna: „Przepraszamy, remanent”. Jest to malownicza specyfika naszego handlu społecznego — takie drzwi z tabliczkami. Prywatny właściciel nie przeprasza, bo nie zamyka. Woli handlować, jest chytry, lubi zarobić. Cóż by to jednak było gdybyśmy na przykład nie zamykali kiosków „Ruchu”? Niby jak policzyć tych tuzin mydełek, cztery pistolety kapiszonowe i sto pudełek z zapalnikami? Klienci przeskadzają, człowiek się myli, sumuje „Poznaj świat” z „Poznaj krajem”, mnoży „Kierunki” przez „Argumenty”. Nie, to niemożliwe.

A oto przystępujemy do gigantycznego remanentu do spisu z natury wszystkich naszego kraju mieszkańców. I uwalnia się kraju nie zamyka, i wszystkie bez wyjątku interesy biegną swoim porządkiem, a klientów nikt przepraszać nie potrzebuje. I okazuje się, że nawet w takiej makroskali to JEST możliwe! Coś podobnego!...

Pomyłki na pewno będą. Arkusz spisowy to plachta wielkości przecierałki, złożona we czworo i gęsto zadrukowana. Przeżyłem już kilka takich spisów powszechnych, najstarszy jaki pamiętam obejmował dwie strony formatu A4, ale życie się komplikuje, nie bez naszej zresztą pomocy. Spisy są oczywiście koniecznością, nie można sobie wyobrazić planowego regulowania tysięcy spraw publicznych bez zdania sobie sprawy od czasu do czasu, z czego właściwie składa się nasze społeczeństwo. Ale pomyłki będą, bo nie ma pytania, które by nie kryło w sobie możliwości nieporozumienia. — Ile osób mieszka w tym lokalu? — zapyta komisarz spisowy. Ale co to znaczy: mieszka? Jest zameldowany? Można być zameldowanym w Strykowie, a mieszkać w Łodzi lub odwrotnie. Można być — jak student — zameldowanym u mamy w Warszawie i w akademiku w Gdańsku, albo nie być zameldowanym nigdzie. Czy „mieszka” to znaczy „sypia”? Jak długo trzeba „sypiać” żeby to już nazwać „mieszkaaniem”? dzień, tydzień, czy rok?

Formularze opracowali fachowcy, całe instytucje fachowców, zresztą przyznaję, że nie znam uwalniających formularzy. Chciałem natomiast — podkreślając absolutną konieczność, celowość, użyteczność tej ogromnej akcji — zgłosić jedno małe zastrzeżenie. Co do samych komisarzy.

Są nimi mianowicie także młodzi chłopcy i dzie-

wczęta ze szkół średnich. To bardzo dobrze, oni to dobrze zrobią, z całą pasją, inteligencją, zrozumieniem. Tylko, że... wiemy jak różne są mieszkania i mieszkańcy. Znam wiele lokali, do których nie pozwoliłbym wejść samotnie moim nastolatkom. Nie ma przecież dnia, w którym by nie było w naszej kochanej Łodzi domowych pijatyk i rozróbek. Dni spisowe też nie będą wyjątkiem, na niejedną taką scenę trafią samotne dziewczęta z arkuszami pod pachą. — Panią kropnie sobie z nami — zagał pan domu, szwagier już stoi z fłachą, bratowa z potarganą bluzką piszczy o góralu i podsuwa kieliszek. Może też być gorzej. No niech sobie będzie, że jestem pesymistą, ale czy nie może być? Może być! Paniąka umówi godzinę przysięcia — o umówionej godzinie zastanie umówionych koleśków. I nikogo więcej!...

Mimo akcji uświadamiającej, mimo chwalebnej zaufania do „szerokich rzesz”, wiemy przecież, że ludzie nie lubią zbyt ciekawości. Niechętnie pozwalają zaglądać sobie do kątów, do przeszłości (a ile dzieci?) do kieszeni. Podejrzewają Bóg wie co. Jeź się. Jedną panią dostanie wypieków, jeden pan zacznie nerwowo palić papierosa, a inny pan z panią wygarnie taką łacinę, że dziewczyna czy też młodzieniec z teczką stracą całkiem kontenans i wszystko im się pomiesza. To już wolabym w tej roli komisarzy widzieć urzędasów oderwanych na parę dni od biurka. Odrzyna ich się często bez żadnych powodów, na przykład na tak zwane kursokonferencje, i nie na tym instytucje nie tracą. A młodzież szkolna też, proszę bardzo. Ale jednak nie samotnie, nie pojedynczo! Chociaż parami! Ojcowie nastolatek i nastolatków, czy nie mam racji?

CWIEK